Rok I

Nr. 3

KILIŃSKI

NZR

PAMIĘTNIKI, OPISY
WSPOMNIENIA, BIOGRAFJE

STOWARZYSZENIE KILIŃCZYKÓW
I ENZETEROWCÓW

Rok I — Warszawa — Lipiec 1936 — Nr. 3

KILIŃSKI

* * *

Nie wszystkie oddziały naszego Stowarzyszenia wykazują jednaką żywotność, nie wszędzie nasza działalność znajduje należyty oddźwięk i nie wszyscy koledzy odnoszą się do organizacji tak, jakby tego należało się spodziewać i jak tego wymaga dobro stowarzyszonych. Jesteśmy grupą ludzi, którzy ongiś szli razem do jednego celu, którzy dziś jednakże różnie reagują na wypadki chwili bieżącej i różne widzą drogi, prowadzące ku lepszej przyszłości. Jest to zjawisko zupełnie naturalne, bowiem od dni naszego wielkiego oddania się sprawie niepodległości, od ciężkich zmagań z dążącą do zniszczenia w nas patrjotyzmu międzynarodówką, dzieli nas trzydziestoletni szmat życia. Byliśmy ongiś pełni zapału, energji, ofiarności, dziś większość z nas to starcy — zapał spłonął, energja skarlała, ofiarność zamarła. Wierzyliśmy kiedyś w znajdującą się w sferze marzeń wolną ojczyznę, będącą dziś rzeczywistością — jakże inną od wyśnionej, wymarzonej.

W tej różnicy tkwi dramat dla nas — marzycieli. Na podłożu tego dramatu wyrastają niedomagania życia społecznego. Ale i to jest zrozumiałe, bo skoro kto żyw wyciąga dziś rękę do ojczyzny po nagrodę — wszystko jedno w jakiej postaci — to nic dziwnego, że robi się tłoczno i wszyscy chcieliby swoją przeszłość, mniej lub więcej ofiarną, zdyskontować wobec potomności. Ktokolwiek ongiś należał do takiej czy innej organizacji politycznej, uważa siebie dzisiaj za wielkiego bohatera, za męczennika, którego trzeba podziwiać, czcić, z których większość domaga się dzisiaj od ojczyzny zapłaty za swoją — czasami naprawdę wielką pracę, w większości wypadków jednak tylko za swój stempel partyjny. Tak czynią ludzie wszystkich obozów wczorajszych walk — nie zawsze niepodległościowych, bardzo często obozów niepodległość tę w latach 1905 i następnych zwalczających. Nic tedy dziw-

nego, że niejednego weterana enzeterowskiego boli, gdy widzi, że ci, co drwili z jego uczuć patrjotycznych, co plwali na sztandary z białym orłem, dziś w wolnej ojczyźnie nadstawiają swoją pierś, aby ten orzeł mógł na niej spocząć w postaci orderu i jeszcze dziwią się, gdy tak samo czyni ten i ów enzeterowiec, w którego piersi serce polskie biło od dawien dawna.

O tych sprawach mówić jest przykro i nieprzyjemnie — nie dlatego, że ten czy ów zwolennik międzynarodówki, przed laty wróg Polski, chełpi się swoją przeszłością i baczy, aby ta przeszłość pokryta była piękną szatą walki o niepodległość — wtedy, gdy wszystko czynił dla międzynarodówki, ale przykre jest to, że niektórzy nasi koledzy tym fałszywym patrjotom zazdroszczą ich dzisiejszej zapłaty, ich nagrody.

To jest przykre, acz usprawiedliwione, bowiem w taki sam sposób postępują ci, — zabiegając również o nagrody, — co byli kiedyś świecznikami pracy społecznej, co stali na czele tego czy innego ruchu politycznego. Brał robociarz przykład ze swoich przywódców kiedyś, bierze go dziś. Jakże więc dziwić się, że wszelki ruch społeczny i robotniczy w dzisiejszej Polsce skarlał i będzie musiał dopiero odrodzić się w nowem pokoleniu. Pokolenie wczorajsze zstąpiło z wysokich szczytów idei w przyziemne niziny, w tych nizinach szukając dla siebie szczęścia — osobistego. W tych nizinach jednak poczynają ukazywać się jaśniejsze ogniki, od czasu do czasu nawet błyśnie większem płomieniem jakby buntu — przeciwko przyziemnemu bagnu.

Nie obchodzi nas tutaj życie społeczne innych organizacyj, innych stowarzyszeń, aczkolwiek wiemy, że wszędzie, gdzie ludzie żyją przeszłością, jest przyziemnie, ale sądząc po tem, co się dzieje wśród kolegów w oddziałach naszego Stowarzyszenia, musimy stwierdzić jakieś jakby poruszenie w bezczynności, bunt przeciwko martwocie, przeciwko przedwczesnemu zaglądaniu w grób. Nie chcemy jeszcze umrzeć, chcemy żyć!

Brawo!

Tu jednak zaczyna się nowy dramat, bo nasi koledzy chcą rozpoczynać nowe życie od Stowarzyszenia. Narzekają, wymyślają, hałasują, buntują się przeciwko złu, krzyczą, upominają się o pracę nad rozwiązywaniem zagadnień społecznych, o wnikanie w dzisiejsze bolączki, chcą walczyć znowu, jak kiedyś, o lepsze jutro — jeśli już nie dla siebie, to dla swoich dzieci, dla młodych pokoleń.

Czy jednak nasi kochani koledzy nie popełniają omyłki? Walka dla przyszłych pokoleń? Każde pokolenie walczy na swój sposób, bo warunki bytu każdego pokolenia są inne. Ale może ojcowie będą umie-

li przystosować się do nowych warunków i walczyć narówni z synami i córkami? Jeśli tak, to niechaj walczą. Czy jednak walka ta musi się odbywać w ramach Stowarzyszenia? Czy mało jest w Polsce organizacyj politycznych i związków, gdzie ta walka właśnie się toczy? Czy, jeśli czujesz w sobie, kolego jeden i drugi, tyle mocy i sil, że uważasz się jeszcze za zdolnego do walki społecznej żołnierza, nie możesz powiększyć szeregów już istniejącej jakiejś organizacji, któraby odpowiadała twoim przekonaniom? Ale, być może, żadna z istniejących organizacyj politycznych tobie nie odpowiada i dlatego upominasz się, ażeby i Stowarzyszenie wzięło udział w dzisiejszej walce społecznej i politycznej. Może masz słuszność, to rzecz twojego nastawienia społecznego i politycznego, rzecz twego sumienia, ale w takim razie, albo jesteś niepoprawnym malkontentem, a w takim razie nie będziesz zadowolony i ze Stowarzyszenia jeśliby weszło ono na drogę walki o sprawy dzisiejsze, bo jednak istnieje taka różnorodność zrzeszeń politycznych, że do jednego z nich przekonania swoje napewno dopasujesz, albo też wielkością swego rozumu wyrastasz ponad wszystkie dzisiejsze programy polityczne i znajdujesz jeszcze jedną receptę na zbawienie Polski, czy choćby tylko klasy robotniczej. W tym wypadku możesz przecież stworzyć jeszcze jedną organizację polityczną, która, być może, zdoła przeniknąć do mas, oszołomić je i uszczęśliwić.

Stowarzyszenie nasze pozostaw jednak, kochany kolego, w spokoju.

Wołasz, kolego, krzyczysz, żeby ci dać pismo tanie i żebyś mógł w niem widzieć wskazania na chwilę dzisiejszą. Bardzo się z tego cieszymy i może niejeden z nas chętnieby w takiem piśmie zabierał głos, być może nawet, że ten i ów z naszych impulsywniejszych kolegów, zdolnych jeszcze do pracy społecznej i walki, coś tam i robi (nie tu miejsce mówić o tem), ale charakteru naszego „Kilińskiego" zmieniać nie będziemy. „Kiliński" postawił sobie za zadanie mówić o naszej przeszłości, o której nikt nie mówi, a która jest wielka i nie wolno jej zaprzepaścić. „Kiliński" będzie pisać o tem, kolego, coś zrobił wczoraj, bo i to jest dzisiaj dla ciebie potrzebne, jeśli chcesz nadal brać udział w walce — abyś mógł sobie przypomnieć, kiedy błądziłeś, kiedy zaś naprawdę szedłeś do celu prostą drogą. Wspomnienia te są potrzebne także i twoim dzieciom, ażeby znały dzieje twej walki i brały przykład z ciebie.

Stowarzyszenie nasze powołane zostało do życia z innych pobudek i dla innych celów niż sobie niektórzy z Was wyobrażają. Prawda, że chcieliśmy się przez Stowarzyszenie sobie przypomnieć, bo jednak, stanowiąc kiedyś siłę, dzisiaj jesteśmy rozrzuceni i rozbici, niemniej celem naszym było przyjście z pomocą, w granicach możliwości, tym na-

szym kolegom, którym ta pomoc jest na stare lata potrzebna — co wcale nie znaczy, że mamy się wyrzec naszych ideałów i że każdego trzeba wynagradzać za jego przeszłość. Musimy sobie pomagać sami. To także jest celem i także ludzi łączy. Tak rozumując, stwierdzamy, że tkwi w nas wielka siła moralna i tej siły w sobie musimy bronić, a walka o lepsze jutro całej klasy robotniczej niechaj się toczy poza Stowarzyszeniem.

Mówicie dalej, że „Kiliński" jest za drogi. Wiemy o tem i dlatego wydajemy go tylko raz na kwartał. Od Was zależy, żeby był tańszy. Niech każdy z członków nabędzie dla siebie egzemplarz, a cena „Kilińskiego" będzie niższa. Czy jednak chętnie każdy z Was go nabywa? Czy każdy z Was kompletuje sobie numery, żeby potem oprawić w roczniki? Są oddziały, gdzie sprzedaje się „Kilińskiego" zaledwie 20% w stosunku do ilości członków. A iluż to spośród Was, koledzy, weźmie „Kilińskiego", obiecuje zapłacić potem i to „potem" trwa całe miesiące? Możnaby na ten temat rzucać dziesiątkami pytań, na które wielu z Was odpowiedziałoby tylko spuszczeniem oczu ku ziemi. Jakże w takich warunkach można mówić wogóle o wydawaniu pisma? Mimo to nie rezygnujemy z pracy i z trudem, ale pismo wydajemy. Czy jednak jest to na dłuższą metę możliwe? Powiedzmy, że „Kiliński" będzie kosztować tylko grosze, to czy każdy z Was będzie go kolportował wśród przyjaciół i znajomych? Mówicie, że „Kiliński" jest za drogi. Jakże! Wypada nawet nie po dziesięć groszy tygodniowo. Wybierzcie sobie w każdym oddziale Stowarzyszenia jednego kolportera i inkasenta, któryby co tydzień od każdego pobrał dziesięć groszy zgóry i potem będziecie mieli „Kilińskiego" tak jakby zadarmo.

——o——

Zestawienie pierwszej części niniejszego artykułu z częścią następną wygląda bardzo smutnie i bije przedewszystkiem w tych, którzy wołają o tanie pismo aktualne. Jakże to mówić Wam o walce w szerokiem życiu społecznem, gdy nie potraficie wykrzesać z siebie tyle cierpliwości, żeby sobie w ciągu kwartału złożyć po kilka groszy na „Kilińskiego"? Czy przypuszczacie, że jak staniecie do walki o jutro, to odrazu, już jutro, będzie Wam lepiej? Wiecie chyba, że każda walka wymaga ofiar i ciągłości, walka nie kończy się nigdy. Myśmy zaprzestali walki i dlatego tak daleko oddaliliśmy się od życia, że zawiśliśmy w próżni. Gdy my, dawniejsi enzeterowcy, rozglądamy się po Polsce, ogarnia nas zdziwienie, jakbyśmy znaleźli się w jakimś obcym kraju, wśród nieznanego nam otoczenia. Kto od kogo uciekł — życie od nas, czy my od życia?

Rozumiemy Was, koledzy. Rozglądacie się po Polsce i nie widzicie wielkiego, potężnego narodowego ruchu robotniczego. To Was boli, o to Wam chodzi! To boli i nas, o to chodzi i nam.

Dlatego wołacie o pismo tanie i aktualne, żeby ten ruch stworzyć... Nie! Nie stworzyć! Bo skoro żyjemy jeszcze w pokaźnej liczbie, skoro dochowaliśmy się dzieci, a są one bezwątpienia wychowane w swej większości w naszym duchu, to nie potrzebujemy niczego stworzyć, lecz tylko ożywić. Komuna wgryza się w organizm Polski, międzynarodówka socjalistyczna zdaje się panować nad polskim robotnikiem niepodzielnie — choć nie we wszystkich częściach kraju jest tak źle, — a my, którzyśmy już raz w historji nie wpuścili do serca i ducha mas proletarjackich polskich międzynarodówki, którzyśmy powtórnie ogromnie utrudnili komunizmowi robotę w zaraniu powstania państwa polskiego — nie mamy sztandaru, przy którym moglibyśmy się skupiać i wskazywać drogi ku lepszej przyszłości naszej i młodego pokolenia. Tak przynajmniej jest w olbrzymiej części naszego kraju.

Ale bądźmy spokojni, prędzej czy później sztandar narodowego ruchu robotniczego, sztandar godny naszej wielkiej sprzed trzydziestu lat idei, załopoce nad nami i wtedy się odnajdziemy; wówczas sztandar ten skupi przy sobie nas starych i młode pokolenie tej części klasy robotniczej, której duch podobny jest naszemu duchowi, wówczas wszystkie, nieliczne dziś jeszcze organizacje narodowego ruchu robotniczego, rozbite, rozczłonkowane zjednoczą się; wówczas każdy z Was, w którym tli jeszcze żar walki, znajdzie ujście dla swego zapału i energji. Jednakże Stowarzyszenie nasze, nawet gdy to nastąpi, pozostanie tem, czem jest, gdyż jest ono potrzebne jako placówka wzajemnej pomocy tym, którzy do nowej walki nie będą już zdolni, jak również i dla świadectwa historycznego, żeśmy byli, żeśmy działali i walczyli o niepodległość Polski. Niechaj teraz nowe pokolenie walczy o to, jaką ta Polska ma być, a kto z nas, starszych, czuje się jeszcze zdolnym do tej walki, niechaj walczy — poza ramami naszego Stowarzyszenia.

Kolportujcie „Kilińskiego" wśród tych dawnych enzeterowców, którzy nie wiedzą jeszcze o istnieniu naszego Stowarzyszenia!

Feliks Piskorski

ZNAD DOBRZYNKI

Zgóry się zastrzegam, że praca moja nie obejmie całokształtu życia organizacyjnego czasów walki o Polskę, nie czuję się bowiem do takiej ani powołany, ani nie umiałbym wniknąć we wszystkie tajniki ówczesnej ciężkiej, mozolnej i niebezpiecznej pracy w szeregach N.Z.R. Pragnę jednak zachęcić do pracy wszystkich innych kolegów pabjanickich i myślę, że każdy z nich, gdyby tylko zechciał, miałby bardzo wiele do napisania o czasach przeszłych, choćby własnych przeżyc, o tem, na co patrzył własnemi oczyma i o czem wie. Myślę też, że sczasem z tych poszczególnych opisów stworzy się pokaźna literatura naszej enzeterowskiej walki o wolność i niepodległość, o lepsze jutro polskiej klasy robotniczej — nawet z opisów kolegów pabjanickich, co dla naszego miasta i dla nas w tem mieście ongiś działających i dla wielu dziś jeszcze w tem mieście żyjących, może mieć niepoślednie znaczenie.

Położone nad Dobrzynką Pabjanice, jak prawie wszystkie ośrodki przemysłowe okręgu łódzkiego, opanowane było w owe czasy przez niemczyznę. Robotnik polski w tem mieście, jak zresztą i wszędzie, był straszliwie wyzyskiwany i poniewierany w fabryce. O żadnych potrzebach duchowych mowy nie było, znajdowały się one dla robotnika tylko w świecie marzeń. Niemczyzna natomiast umiała się w tej dziedzinie życia społecznego zorganizować, tworząc najprzeróżniejsze stowarzyszenia, których rozwój był nawet mile przez władze rosyjskie widziany. Nic dziwnego, stowarzyszenia te, nietylko że nie godziły w wielkie imperjum rosyjskie, ale starały się temu imperjum przypodobać.
W takich to czasach rozpoczęła się wśród robotników polskich tajna i cicha praca oświatowa. Znalazła się grupa pionierów ruchu narodowego wśród robotników pabjanickich, do której należeli: Konstanty Janiszewski, Jan Sutorowski i inni. Nawiązali oni łączność z kilkoma wtajemniczonymi w tajne życie organizacyjne inteligentami, i przystąpiono do powolnej, rzetelnej pracy oświatowej nad podniesieniem przedewszystkiem poziomu umysłowego polskiej klasy robotniczej i rzemieślniczej.

Ale wypada mi zacząć przedewszystkiem od siebie, bo tylko w ten sposób będę mógł odtworzyć w pamięci to, na co patrzyłem w N. Z. R. Mieszkałem wówczas w Łęczycy i tam też uczęszczałem do szkoły. Już jako 14-letni uczeń szkoły łęczyckiej otrzymywałem od brata mego, An-

toniego, nielegalne pisma i druki narodowe, które kształtowały mój umysł, budząc nienawiść do gnębicieli naszego narodu. Rzecz oczywista, że z tej literatury musiała się we mnie, jak i we wszystkich którzy czuli potrzebę walki o lepsze jutro ojczyzny, rodzić tylko jedna myśl — niepodległość.

Pisma i druki narodowe, otrzymywane od brata, ukrywałem w książkach rosyjskich i dostarczałem do szkoły. Po porozumieniu się z kilku kolegami, których uważałem za zbliżonych przekonaniami do siebie, zawiązaliśmy luźne kółko wtajemniczonych i zakazaną literaturę czytaliśmy wspólnie. Po przeczytaniu kolportowaliśmy te pisma dalej wśród okolicznych mieszkańców.



Feliks Piskorski

W 1903 przeniesiono mnie do szkoły w Łodzi. Tu w dalszym ciągu w gronie kilku wtajemniczonych kolegów propagowaliśmy ideę narodową, co przyczyniło się później do wzmocnienia ostrości w walce o szkołę polską. W 1905 wziąłem czynny udział przy organizacji tej walki, głównie w t. zw. Aleksandrówce, gdzie wystawiono żądania wykładowego jęz. polskiego, mianowania nauczycieli Polaków, prawa kontrolowania szkoły przez rodziców uczni, zniesienie ograniczeń przy przyjmowaniu kandydatów Polaków i inne. W Łodzi strajk szkolny niezupełnie się udał, gdyż już po paru dniach większa część uczniów wróciła do szkoły. Nie należy temu się dziwić, boć większość ich rekrutowała się z Niemców, Żydów i Moskali, choć i wielu polskich synów poszło do zajęć szkolnych (patrz Nr. 1 „Kilińskiego" art. Brzezińskiego „Dzielnica Zielona w Łodzi". Przyp. red.).

Akcja ta skończyła się jednak dla mnie wydaleniem ze szkoły, o czem dyrekcja szkoły zawiadomiła rodziców za pośrednictwem policji, dając im tem samem znać o mojej nieprawomyślności. Rodzice tem się zbytnio nie przejęli.

Wkrótce potem poznałem kilku ludzi organizacyjnych z Pabjanic i wciągnąłem się do ściślej pracy partyjnej. Pierwszymi moimi wykładowcami byli Sutorowski, Klimaszewski i Janiszewski, którzy zakładali kółka oświatowe robotnicze i rzemieślnicze. Przysięgę złożyłem w mieszkaniu brata mego Antoniego i zaliczony zostałem do jego dzie-

siątki. Niebawem powierzono mi kierownictwo jednego z takich kółek oświatowych, do którego należeli tkacze ręczni: Chęciński, Turek, Ratajczyk, Legendz i inni. W programie mieliśmy naukę czytania i pisania, rachunki, ogólne wiadomości o ziemi i pogadanki z historji Polski. Lekcje odbywały się w mieszkaniach poszczególnych członków koła, coraz to u innych, aby nie zwracać na siebie uwagi. Tego rodzaju praca oświatowa była konieczna także i z tego względu, że robotnik polski w otoczeniu stojących wyżej kulturalnie Niemców, łatwo poddawał się ich wpływom i wynaradawiał się. Może to jest paradoks, ale niestety tak było, że Polak wynaradawiał się w swojej ojczyźnie pod wpływem przybyszów Niemców.

W taki sposób doszło sczasem do powstania licznych organizacyj polskich, jak Polska Macierz Szkolna (Towarzystwo Naukowe), Sokół (Towarzystwo Sportowe), Towarzystwo Śpiewacze „Lutnia" i inne. Stowarzyszenia te powstały jako przeciwstawienie się niemczyźnie, faworyzowanej przez władze. W „Lutni" zorganizowały się niebawem poszczególne sekcje: chór mieszany i męski, kółko mandolinistów i kółko dramatyczne. Co miesiąc urządzano wieczornice ze śpiewem, muzyką i jakąś sztuką sceniczną, lub dawano tylko samo przedstawienie. Wieczory te zyskały niebawem w Pabjanicach wielką popularność i starano się utrzymać je na ówczesnym poziomie umysłów robotniczych. Cieszyły się one dużem powodzeniem i w sposób wydatny wpływały na podniesienie ducha w robotnikach i utrwalenie polskości.

W 1910 urządzono zjazd przedstawicieli towarzystw śpiewaczych z całej byłej Kongresówki. Stało się to pod pretekstem obchodu pięciolecia „Lutni". Ponieważ na zjazd nie można było uzyskać pozwolenia władz, przeto zaproszono także przedstawicieli innych organizacyj śpiewaczych w charakterze gości. Przybyło około 40 przedstawicieli, wśród których było sporo wybitnych działaczy narodowych niepodległościowych. Po popisach śpiewaczych odbyła się kolacja, podczas której wygłoszono kilka mów patrjotycznych. Organizatorzy zjazdu jednak przedtem musieli się pozbyć naczelnika policji, który przybył również na bankiet, był to bowiem zjazd instytucji legalnej. Naczelnik policji przestrzegał ściśle, aby na salę nie dostał się nikt nieproszony i ustawił przy drzwiach wartę, która sprawdzała karty zaproszeniowe. Ażeby się go pozbyć na czas wygłoszenia mów, kilku ludzi zaprosiło naczelnika policji do mieszczącej się w tym samym domu restauracji i w ten sposób niepotrzebny tam człowiek był unieszkodliwiony.

Zebrania partyjne odbywały się w prywatnych mieszkaniach coraz to w innem miejscu. Z drżeniem serca szedłem na każde takie zebra-

nie, by usłyszeć prelegenta, który zawsze dostarczył umysłom słuchaczów nowych wiadomości z dziedziny polityki nieznanej szerszemu ogółowi i wpajał w nich uczucia patrjotyczne, umacniając tem samem wiarę w niepodległość i zrozumienie potrzeby walki o wolność narodową. Niekiedy zebrania takie odbywały się w lokalu parafjalnym (wikarjatce) na Starem Mieście, gdzie bardzo często, obok właściwego prelegenta partyjnego, przemawiał do nas i ksiądz Lniski.

Kapłan ten cieszył się w Pabjanicach wielką popularnością. Przypominam sobie, że kiedy Moskale chcieli aresztować księdza Lniskiego za jego działalność narodową, kilkakrotnie wieczorem albo i w nocy trąbiono na alarm sygnałami strażackiemi i bito w dzwony. Ludność wyległa na ulice zbrojna w tasaki, toporki, kije, siekiery, każdy chwytał co mu wpadło w rękę i biegł w stronę kościoła, bronić lubianego i kochanego księdza.

Dla mnie największą skarbnicą wiedzy nielegalnej były rozmowy z Janiszewskim, Sutorowskim i Nowakiem. U nich była kuźnia naszej pracy w Pabjanicach. Działalność inteligentów d-ra Eichlera i Kamieńskiego była bardziej zakonspirowana, mieszkania ich były dostępne tylko dla więcej wtajemniczonych, do których ja się nie zaliczałem. Otrzymywaną bibułę dla kolportażu chowaliśmy w najprzeróżniejszych skrytkach, z których najbardziej w użyciu był próg w sieni, zrobiony tylko z desek, pod którym kryły się nieraz całe paczki nielegalnej literatury, jeśli nie można jej było odrazu rozkołportować.

Wciągałem się coraz bardziej do roboty i sczasem powierzono mi misję propagandy w okolicznych wsiach, by i tam niecić płomień buntu i szerzyć ideę niepodległościową.

W celu większego zamanifestowania naszych uczuć patrjotycznych w szerszych masach, otrzymaliśmy kiedyś polecenie organizacyjne, ażeby w kościele parafjalnym na Starem Mieście odśpiewać pieśń „Boże coś Polskę". Były nieszpory. Rozstawiliśmy się po kościele w różnych punktach, aby to tak wypadło, że śpiewa wszystek lud zebrany na wieczorne nabożeństwo. W obawie, że organista, który nie należał do nas, będzie chciał zagłuszyć nasz śpiew, wysłaliśmy na chór kolegę Kacpra Biskupskiego, ażeby kalikował organiście do organów. Czynność tę spełniał zwykle jakikolwiek przygodny człowiek spośród obecnych na nabożeństwie. Istotnie, gdy w kościele rozległ się zakazany śpiew, ksiądz proboszcz prędko uciekł od ołtarza (było już po nieszporach), a organista zagrał i... skończył, bo Biskupski przestał kalikować i powiedział, że nikogo do kalikowania nie dopuści. Organista dał za wygranę i także prędko znikł z chóru, a myśmy prześpiewali pieśń do końca.

Po ogłoszeniu konstytucji październikowej i zachęceni przykładem Warszawy, gdzie odbył się wielki pochód narodowy, organizacja narodowa postanowiła urządzić taki pochód w Pabjanicach. Na czele pochodu miała jechać banderja ze sztandarem narodowym. Banderja uformowała się za miastem i od strony Górki Pabjanickiej jechała w kierunku Starego Miasta. Po drodze została zaatakowana przez konnicę rosyjską i rozgromiona. Do pochodu nie dojechała. Wojsko szarżowało i kilku członków banderji zostało ranionych szablami. Między innymi przypominam sobie ranionych: Szczepana Madeja, Franciszka Maciaszka, Antoniego Milera i Marcina Łobodę.

Czoło pochodu tymczasem znalazło się u wylotu ulicy Warszawskiej, kierując się ulicami Kościelną i Bóżniczną w stronę Starego Miasta. Pochodowi zastąpił drogę kordon wojska z nastawionymi bagnetami. Dowódca oddziału wojskowego zażądał rozejścia się, ale było to niemożliwe do wykonania, ponieważ dalsi uczestnicy pochodu, nie wiedząc o przeszkodzie, parli naprzód. Pochód się wreszcie zatrzymał, ale nikt nie uciekał. Po długich pertraktacjach wojsko cofnęło się i pochód przepuszczono. Szedł do kościoła. Lud pabjanicki wykazał wówczas mocną swoją postawę, bowiem mimo wojska, gotowego do zaatakowania pochodu bagnetami, popłochu nie było.

Jak mocno już wżarł się w serca ludzi bunt i gotowość walki, świadczy również odbywający się któregoś dnia w 1905 pod gołem niebem wiec na placu strażackim. Nadjechało wojsko, otoczyło uczestników wiecu, a dowódca rozkazał rozejście się. Wojsko z gotowymi do strzału karabinami ścieśniało się, coraz bardziej wpychając tłum na ulicę. Tłum rozchodził się powoli, bez popłochu.

Pamiętam później smutne dni walk bratobójczych. Socjaliści napadali na naszych kolegów i zabijali ich, bowiem nasza robota narodowa przeszkadzała im w ich umiędzynaradawianiu polskiego robotnika. Myśmy chcieli Polski, oni międzynarodowego socjalizmu. Pewnego wieczoru w 1906, gdyśmy w kilku byli zebrani w prywatnem mieszkaniu kol. Eichlera w celu omówienia pewnych spraw organizacyjnych, związanych z Towarzystwem Gimnastycznem „Sokół“, przyniesiono tam postrzelonego przez socjalistów członka N. Z. R. Malinowskiego, który następnego dnia zmarł w szpitalu Kindlera wskutek odniesionych ran.

Kiedyindziej znowu wracałem z zebrania partyjnego, które odbyło się u kol. Hansa przy ul. Łąkowej, usłyszałem za sobą strzały rewolwerowe. Byłem wówczas na Nowym Rynku. Okazało się, że był to zamach na kolegę naszego Mieczysława Tomczaka, którego socjaliści postrzelili. Tomczak wracał wtedy z tego samego zebrania.

Pewnego razu spotkałem grupę ludzi na ul. Tuszyńskiej. Było to w nocy. Tknięty przeczuciem zatrzymałem się chwilę zdala i niebawem spostrzegłem, jak ci ludzie pobiegli naprzód. Otoczyli kogoś wokoło i grożą mu zabiciem, jeśli nie przestanie prowadzić roboty narodowej. Był to Jarmakowski. Podszedłem bliżej i wtrąciłem się do sporu, który skończył się szczęśliwie i grupa socjalistów przepuściła Jarmakowskiego i mnie wolno. Być może podziałały tutaj moje, łagodzące sprawę argumenty.

Pracowałem jeszcze potem na niwie narodowej przez wiele lat aż do odzyskania niepodległości, ale ponieważ nie była to już robota czysto enzeterowska, lecz ogólno narodowa, przeto pomijam ją tutaj milczeniem.

Koło Agitacyjne przy dzielnicy Zielonej w Łodzi

(Do artykułu M. Brzezińskiego „Dzielnica Zielona w Łodzi" Nr. I „Kilińskiego")



Stoją od prawej: Franciszek Bartczak, Maksymiljan Brzeziński, Marjanna Brzezińska, Feliks Mikołajczyk, Stanisław Miller. Siedzą: Wacław Dobrowolski, Ignacy Lewicki

Jan Posiak

Dzielnica „Górna" w Łodzi

Ażeby opisać działalność dzielnicy „Górnej" w Łodzi, muszę zacząć od siebie. Wykształcenie narodowe, jeśli można się tak wyrazić, otrzymałem od swego ojca, Jakóba, powstańca 1863 r., ranionego w jednej z bitew z Moskalami. Przez długie lata nosił on w swej nodze kulę moskiewską i z kulą tą zszedł do grobu. Uczył czytać i pisać nietylko mnie, ale dwanaścioro innych cudzych dzieci. Które z dzieci nauczyło się czytać, obdarowywał je książką Chociszewskiego „Polska w 24 obrazach". Taką książkę i ja dostałem, i to była pierwsza moja, kształcąca mnie w duchu narodowym lektura. Pamiętam opowiadanie ojca, który nam, dzieciom, tłumaczył, że jesteśmy Polakami, kraj nasz znajduje się pod panowaniem wroga, którego powinniśmy nienawidzić i zwalczać na każdym kroku. Bardzo często słyszałem jak ojciec z dziadkiem moim opowiadali sobie dawne dzieje, zwłaszcza dziadek miał tu dużo do opowiadania, pamiętał bowiem jeszcze rewolucję warszawską i Jana Kilińskiego.

W 1893 porzuciłem dom rodzinny we wsi Niewierszyn i odbyłem wędrówkę do Łodzi dla poszukiwania chleba, tak zresztą uczyniło w owe lata wielu innych synów chłopskich. Pracę rozpocząłem w fabryce Leona Alarta przy ul. Kątnej i zarabiając na jakie takie utrzymanie, mogłem sobie pozwolić na kupowanie tygodników o treści religijnej i narodowej. Najbardziej podobały mi się te czasopisma, w których mogłem wyczytać coś o naszej przeszłości narodowej.

W 1896 byłem chory. Ponieważ lekarz fabryczny nie pomagał mi na zdrowiu, byłem zmuszony leczyć się prywatnie. W Łodzi w owe czasy słynął jako dobry lekarz dr. Antoni Rząd, do którego też zwróciłem się o pomoc lekarską. Czekając w poczekalni na swoją kolej wizytowania przez lekarza, zwróciłem uwagę na rozrzucone na stole książki i czasopisma. Zaciekawiły mnie i począłem je przeglądać. Doktór po każdej wizycie pacjenta wychodził do poczekalni, żeby wezwać następnego i zwrócił uwagę na moje zainteresowanie książkami. Prawdopodobnie z zamiarem porozmawiania ze mną, przyjmował wszystkich innych, oczekujących swej kolei chorych, zostawiając mnie naostatek.

Badając mnie, wszczął ze mną rozmowę, rozpytując, czy lubię czytać i co mi się najlepiej podoba. Myślę, że dr. Rząd z wieloma innymi pacjentami w taki sam sposób postępował, wciągając tą metodą robotników do pracy narodowej. Postępowanie doktora bardzo mi się podobało i trafiało do przekonania. Opowiedziałem swoje upodobania co do książek, których nie miałem za co kupować i doktór zaofiarował mi swoją bibljotekę, abym z niej korzystał dowoli. Chętnie się na to zgodziłem i jeszcze tego samego dnia przyniosłem do domu kilka książek.

Czytałem je nietylko sam, ale i w gronie kilku kolegów. W ten sposób utworzyło się niczem jeszcze nie związane z sobą luźne koło robotników, którzy gromadnie korzystali z bibljoteki doktora.

Pewnego dnia — a było to w 1898 — jeden z moich kolegów, Aleksander Sałaciński, dostarczył mi „Polaka". Egzemplarz był mocno zniszczony i na załamaniach nie można było nic odczytać. Ale i pozostała treść wystarczyła, żebyśmy w naszem gronie mówili odtąd tylko o Polsce i przyszłem powstaniu przeciw Moskwie. Mieliśmy tylko kłopot z dalszem nabywaniem „Polaka". Nie wiedzieliśmy, dokąd się po tak cenne pismo zwrócić. Niektórzy z nas spróbowali napisać do Krakowa. Odważył się na to Antoni Pawełkiewicz, ale urzędnik na poczcie, odbierający list z pieniędzmi, przeznaczonemi dla redakcji na wysyłkę „Polaka", poprosił Pawełkiewicza do oddzielnego pokoju i w cztery oczy zagroził mu Sybirem i szubienicą, jeśli jeszcze raz z czemś podobnem przyjdzie na pocztę. Myślę, że nie był to wróg, ale przyjaciel, który w ten sposób chciał tylko uchronić Pawełkiewicza od przykrych następstw w przyszłości, gdyby jeszcze kiedykolwiek tą drogą chciał otrzymać tajne w Królestwie pismo z Krakowa, bowiem zaznaczył, że na otrzymywanie tego pisma są inne drogi, i jeśli dostał się w jego ręce jeden egzemplarz, to już ci sami dostawcy postarają się, aby otrzymał i następne. Wypadek ten tak podziałał na Pawełkiewicza, że przestał do mnie przychodzić. Bał się.

W jakiś czas potem Salaciński spytał mnie, czy mi się „Polak" podobał. Odpowiedziałem twierdząco. Obiecał mi dostarczać każdy następny numer co miesiąc. Objaśnił mnie przytem, że pismo to jest wydawane przez tajną organizację.

Po tej rozmowie Sałaciński poszedł ze mną do Jana Jarząba. Jakież było moje zdziwienie, gdy Jarząb zaprowadził mnie na tajne zebranie do mieszkania — doktora Rząda. Było tam już kilka osób, pomiędzy którymi poznałem późniejszych moich kolegów partyjnych: Władysława Jankowskiego, Franciszka Jeżykowskiego, Wacława Kowalskiego, Jana Michalaka, Piotra Szwedowicza, Przybylskiego i innych. Po przemówieniu księdza kapucyna z Nowego Miasta (nazwiska nie znam), odebrano ode mnie przysięgę i nadano mi pseudonim „Skowronek".

Od tej pory przystąpiłem do roboty organizacyjnej pod kierunkiem Jarząba. Trwało to do czasu aresztowania go z Wiktorem Michnią z Kalisza, co stało się na granicy pod Krakowem, dokąd jeździli po bibułę. Przesiedzieli w więzieniu po sześć miesięcy i zwolniono ich, ale znajdowali się pod obserwacją i organizacyjnie zabroniono mi spotykać się z Jarząbem, żeby nie naprowadzić policji na trop organizacji. Ostrożność była uzasadniona, bowiem Jarząba po kilku tygodniach aresztowano ponownie i znowu przesiedział w więzieniu kilka miesięcy. Więcej odtąd Jarząba nie widziałem.

Kierownictwo nad kółkami ja objąłem i zostałem w dzielnicy Górnej, obsługując narazie 7 kółek. Organizacja rozwijała się bardzo mocno i niebawem mogłem się poszczycić 25 kółkami. Reprezentując tak licznych zorganizowanych tcoenowców, zostałem wybrany do zarządu dzielnicy, do której jeszcze w tym czasie należał i Widzew. Członkami zarządu dzielnicowego, oprócz mnie, byli: Jeżykowski, Jankowski, Bartłomiej Słomczyński i Tomasz Józefiak.

Organizacja rosła szybko, ale szwankował kolportaż, bowiem inteligencja, która starała się dla nas o nielegalne wydawnictwa, robiła

to opieszale — czy też może myśmy za energicznie brali się do roboty i cierpieliśmy na głód bibuły. Udaliśmy się we trzech z Jankowskim i Jeżykowskim do Rząda w celu naradzenia się nad zaradzeniem niedomaganiom kolportażowym, oświadczając, że jeśli dotychczasowy system sprawadzania bibuły szwankuje, to my sobie będziemy je sprowadzać sami. Nie zganiono naszego projektu, lecz, przeciwnie, obiecano nam pomóc materjalnie w celu sprowadzenia bibuły. Jednocześnie na tej konferencji Rząd ofiarował się z materjalną pomocą na wysłanie nas z wycieczką do Krakowa.

Pojechało nas: z Łodzi Jeżykowski, ja i Dziandziara z Pabjanic Jan Sutorowski, Konstany Janiszewski i trzeci kolega, którego nazwiska nie zapamiętałem.

Wyjechaliśmy z Łodzi do Gołonoga, gdzie mieliśmy się przesiąść na linję Iwangrodzko-Dąbrowską, ażeby dojechać do Olkusza, skąd miano nas przeprowadzić przez „zieloną“ granicę. W Gołonogu, mając czasu cztery godziny na przyjście pociągu, postanowiliśmy zwiedzić okolicę i wstąpiliśmy do miejscowego kościoła. Trafiliśmy na naukę katechizmu dzieci. Korzystając ze spotkania się z miejscowym proboszczem, postanowiliśmy zasięgnąć od niego bliższych informacyj, jak najlepiej dostać się za kordon. Gdy wspomnieliśmy, że jedziemy do Krakowa, proboszcz przeraził się wielce i wprost zaniemówił. W umyśle księdza musiało powstać niemałe zamieszanie, skoro, chcąc się nas pozbyć, odwrócił się od nas i poprowadził dalej naukę katechizmu. Ale jak! Nie panując nad sobą, spytał dzieci ile jest Bogów w jednej osobie. Organista, który był w tym czasie z nami w kościele, parsknął śmiechem, co księdza rozgniewało i obraził się. Po wyjściu z kościoła dopiero organista pouczył nas, jak mamy się w pasie granicznym zachować, żeby nie wzbudzać podejrzeń żandarmów i strażników. Wskazał nam kierunek do wioski, gdzie mieliśmy znaleźć ludzi chętnych do przeprowadzenia nas za pieniądze przez granicę.



Antoni Rząd

Po uciążliwych tarapatach dostaliśmy się wreszcie, prawie pojedyńczo, za kordon graniczny. Po przybyciu do Krakowa — a było to w pierwszy dzień Zielonych Świątek — widziałem na rynku pełno wozów z brzeziną i tatarakiem i przyznam, bardzo mnie to oburzyło. Jakto! Przecież święto, a tu jarmark! Zwróciłem się wówczas do jednego z przechodniów, przed którym wypowiedziałem swoje oburzenie, a ten mi odparł: „Jak Polak w Galicji nie pocałuje żyda w brodę, to mu obiad nie smakuje“. Przedstawiliśmy się sobie i okazało się, że trafiłem na posła Jakóba Bojko. Muszę podkreślić, że sprzedawcami

na rynku krakowskim byli przeważnie żydzi i stąd złośliwa uwaga Bojki.

Kraków zrehabilitował się w moich oczach, gdy wysłuchałem kazania w kościele benedyktyńskim, dokąd przybyła akurat wielka wycieczka z Buczacza z księdzem Guzowskim na czele i kapucyn O. Anioł wygłosił wielce patrjotyczne kazanie. Na sumie w tym samym kościele i również w duchu patrjotycznym, wygłosił kazanie ks. biskup i zarazem kardynał krakowski Ledóchowski, obiecując „poprowadzić naród do boju z Moskwą z pastorałem w ręku".

Popołudniu tegoż dnia odbyło się przedstawienie w teatrze krakowskim. Grano „Kościuszkę pod Racławicami". Wynikł przytem skandal, gdyż kasa teatru sprzedawała bilety zwykłej publiczności, podczas gdy miasto zamówiło przedstawienie dla wycieczki buczackiej i bilety uczestnikom wycieczki rozdano, skutkiem czego na wszystkie miejsca przyszły po dwie osoby. Awantura była tak wielka, że dyrekcja teatru wezwała policję dla zaprowadzenia porządku i przedstawienie dla wycieczkowiczów zostało odłożone do następnego dnia na godz. 10 rano. Następnego dnia przedstawienie skrócono o dwa akty i znowu wynikła awantura. Nie było to budujące, zwłaszcza dla nas, królewiaków, którzyśmy śpieszyli do Krakowa, jak pielgrzymi do polskiego Rzymu.

Po zwiedzeniu różnych osobliwości Krakowa i miejsc historycznych, zebraliśmy się z olbrzymią wycieczką buczacką pod pomnikiem Mickiewicza na rynku krakowskim, ażeby się wspólnie sfotografować. Ze sposobności tej zamierzał skorzystać jakiś socjalista i zaczął wygłaszać mowę, ale dostał kije i uciekł.

Przed powrotem do Kongresówki obładowaliśmy się bibułą i ruszyliśmy w drogę po dwóch, aby nie zwracać na siebie uwagi. Czekając w Olkuszu na pociąg, nocowaliśmy obaj z Jeżykowskim w lesie. O 6-tej rano wsiedliśmy szczęśliwie do pociągu i wróciliśmy do Łodzi, zdając sprawozdanie z wycieczki w mieszkaniu Rządа.

Praca organizacyjna rozrastała się i kierujący T. O. N. ludzie byli zmuszeni powołać do zarządu kilku robotników. W Górce Pabjanickiej zwołano zebranie setników i dziesiętników z dzielnic Górnej i Widzewskiej. Na zebraniu tem przewodniczył Leon Tochterman. Do zarządu wybrano Jeżykowskiego, Posiaka, Jankowskiego i innych. Następnego dnia zebrał się zarząd w mieszkaniu Jeżykowskiego, gdzie poznaliśmy się z przedstawicielami dzielnicy bałuckiej i staromiejskiej: Janem Michalakiem, Antonim Michałkiewiczem, Romanem Tyszką i Sałatą. Na zebraniu tym omówiono stosunek robotników do inteligencji i postanowiono z inteligencją współpracować, stojąc na stanowisku, że bez inteligencji robotnicy nie dadzą sobie jeszcze rady, przytem nie chcieliśmy się od innych klas społecznych odseparowywać.

Zbierając się wspólnie z inteligentami, poznałem Tochtermana, Pawła Małachowskiego, Leona Kuźmińskiego, Wacława Wojewódzkiego, Wacława Morsztynkiewicza, Włodzimierza Eborowicza, Bolesława Benedeka i innych. To grono ludzi stanowiło zarząd T. O. N. na okręg łódzki. Na posiedzenia zarządu uczęszczali również dr. Ludwik Bondy z żoną Bronisławą, Zofja Pełkowa, Helena Holewicka, Tadeusz

Kokeli z żoną, Jan Leśniewski. Nie byli to członkowie zarządu z wyboru, ale zarząd ich kooptował do współpracy.

Ponieważ T. O. N. było organizacją, utworzoną przez ówczesne najpotężniejsze w Polsce stronnictwo Narodowo Demokratyczne, my, jako przedstawiciele zarządu, bywaliśmy także na zebraniach tego stronnictwa. I, muszę stwierdzić, że od samego początku coś nas, robotników, od tych ludzi dzieliło. Myśmy chcieli pracować bez żadnych zastrzeżeń, dopominaliśmy się o dostarczanie nam jaknajwiększej ilości bibuły, bez której praca wśród robotników i włościan była trudna, a na zebraniach narodowo - demokratycznych karmiono nas dyskusjami na poziomie dla nas za wysokim, przeto nudnym i nie porywającym. Współpracowalismy mimo to z sobą.

Spowodu dostarczania nam bibuły, mimo naszych nalegań, w niedostatecznej ilości, wzięliśmy się sami do roboty, nie oglądając się na nikogo. Po bibułę jeździli kolejno do Krakowa: Jeżykowski, Posiak, Jankowski, Ignacy Stęborowski i Tomasz Marciniak. Przywozilismy ją w t. zw. ornatach na gołem ciele.

W 1904 w same Ostatki miałem przykry wypadek podczas transportu bibuły. Miałem na sobie 300 egz. „Polaka" i 100 „Wiadomości z placu boju". Strażnika granicznego nie udało mi się przekupić, padał bowiem deszcz ze śniegiem i mógłbym zostawić ślady na mokrym śniegu. Strażnik graniczny nie chciał narażać się na ewentualną kontrolę kogoś ze starszyzny. Musiałem więc przeleżeć w krzakach jałowcowych przeszło 15 godzin, przywalony śniegiem, który na mnie padał. Stężałem z zimna i myślałem, że przyjdzie mi chyba tam skonać. Nabawiłem się jednak choroby, gdyż przez cały ten czas nie mogłem się ruszać i załatwiać swe potrzeby fizjologiczne, byłem bowiem cały zasznurowany ornatem. Cierpię z tego powodu dodziśdnia i z chorobą swoją zejdę już do grobu.

Zdarzały się nieraz wypadki zetknięcia się z policją. Pewnego razu wiozłem bibułę nietylko na sobie w ornacie, ale w dodatkowej paczce, którą niosłem w ręku. W Dąbrowie Górniczej położyłem paczkę w wagonie na półce nad głową. Wszedł żandarm, oglądając paczki. Namacał i moją. Spytał czyje to. Odpowiedziałem, że jakiś pan położył to i przeszedł do następnego przedziału. Żandarm poszedł szukać owego pana. Ja tymczasem zwróciłem się do konduktora na śmiałego, oświadczając, że wiozę grzechy przeciwmoskiewskie i proszę o pomoc w ukryciu paczki. Działo się to na oczach wszystkich pasażerów. Konduktor natychmiast wszedł na okno i paczkę ukrył na dachu wagonu. Po chwili wrócił żandarm ze szpiclem i paczki nie znalazł. Rozzłościł się i spytał, kto zabrał paczkę. Któryś z pasażerów tym razem wyręczył mnie w odpowiedzi i rzekł, że ten pan, który paczkę położył, zabrał ją sobie i wyszedł spowrotem. Żandarm, pełen wściekłości, wybiegł ze szpiclem szukać nieprzyjaciela, który... siedział sobie spokojnie na ławce.

W Koluszkach konduktor przeniósł paczkę z pociągu warszawskiego na pociąg łódzki, powierzając ją opiece innego konduktora. Paczkę odebrałem dopiero na placu przed dworcem Fabrycznym w Łodzi. Wręczył mi ją konduktor i nawet dla odwrócenia ode mnie uwagi strażników przed dworcem, wsiadł ze mną do dorożki i kawałek ze

mną pojechał. Dopiero daleko od dworca pożegnał się ze mną i wysiadł z dorożki. W celu wyrobienia spośród robotników ludzi zdolnych do przemawiania na zgromadzeniach, Rząd urządził w swoim mieszkaniu kursy nauki wymowy. Sam mało miał czasu, ale postarał się o prelegentów, którymi byli: Franciszek Kamocki i Oskar Gerlicz ze Zgierza. Gerlicz przyjeżdżał do Łodzi w niedzielę i udzielał nauk. Potem zbieraliśmy się na wykłady u Kamockiego, który mieszkał u adw. Maternickiego przy Nowym Rynku 9. Po przejściu pewnego kursu Rząd polecił nam opracować przemówienia dla robotników na temat: jak należy organizować koło organizacyjne. Każdy z nas opracował temat, ale najlepiej uczynił to Jeżykowski i jego opracowanie uznano za konkursowe. Sami zresztą zdecydowaliśmy o tem.

Praca moja nie ograniczała się tylko do sfer robotniczych, docierałem do wsi i miasteczek ziemi piotrkowskiej i kaliskiej, organizując kółka i kolportując bibułę. W Kaliszu poznałem Alfonsa Parczewskiego, adwokata i Sikorskich — ojca i syna. Stary Sikorski prowadził w Kaliszu restaurację i u niego zawsze składałem przeznaczoną dla Kalisza bibułę. W Piotrkowie poznałem przełożoną gimnazjum pannę Trzcińską, panią Jakobi, która miała sklep kolonjalny przy ul. Bykowskiej; w Tomaszowie — majstra fabrycznego Gizińskiego i dyr. kasy pożyczkowej Jana Morsztynkiewicza; w Ozorkowie Józefa Chojaka i Pasierbińskiego, a w Zgierzu Pągowskiego. Byli to działacze miejscowych kół T. O. N.

Rząd rosyjski zaczął wydawać polakożerczy tygodnik „Oświata", gdzie na pierwszem miejscu, dla wprowadzenia w błąd czytelnika, drukowano ewangelję i naukę religijną na każdą niedzielę, aprobowaną przez konsystorz rzymsko - katolicki. Reszta treści stanowiły artykuły zwalczające i zohydzające polskość, opiewające cześć Rosji i inne oszustwa historyczne. Mieliśmy twardy orzech do zgryzienia w zwalczaniu tego świństwa, bo jednak ewangelja i nauka religji swoje robiły. Ale w sukurs przyszła nam odezwa, w której pouczano ludzi, co to jest „Oświata" i odezwę tę propagowaliśmy, chodząc na nabożeństwa do kościołów i w tłumie wkładaliśmy odezwę chłopom do kieszeni sukman. Chłop wracał do domu i, znajdując odezwę w kieszeni, uważał to za palec boży i „Oświaty" nie chciał odtąd brać do ręki. „Oświatę" rozdawano darmo, a chłopi pakowali to do pieca i palili. To też po kilku miesiącach przestało to świństwo wychodzić. A tymczasem myśmy propagowali „Polaka" i różne broszury o treści patrjotycznej antymoskiewskiej.



Paweł Małachowski

Ale oto po zlikwidowaniu „Oświaty" Moskale wpadli na nowy pomysł propagowania wśród ludu polskiego trucizny moskiewskiej. Postanowiono, ażeby w każdej izbie chłopskiej, na pamiątkę obdarowa-

nia przez cara chłopów ziemią i wolnością, wisiały portrety cara i carowej. Zrobiono ruch w gminach przez wójtów, nakazując chłopom przyjmowanie portretów, które miały być sprzedawane za bezcen, byle tylko znalazły się w miejscu przeznaczonem. Ale lud został uprzedzony o wszystkiem zapomocą naszych odezw i gdy tylko naczelnik powiatu na zgromadzeniu gminnem wspominał o portretach, chłopi odpowiadali chytrze: „Takie piękności powinny wisieć w pałacach, nie w chłopskich chałupach, gdzie brudno, gdzie śpi się z kurami, z prosiakami i z bydłem. W takiem miejscu takich świętych obrazów nie godzi się wieszać i pan naczelnik chyba nie ma poszanowania dla cesarza i jego małżonki, skoro namawia, żeby to w chłopskiej chałupie powiesić. A jak się chłop z babą zacznie kłócić, a kląć, to będzie z tego tylko sponiewieranie najjaśniejszego pana." Cóż miał uczynić przedstawiciel władzy? Połknął pigułkę, boć przecież nie mógł chłopu nic na to odpowiedzieć i historja z portretami wcale się nie udała.

Na terenie pracy organizacyjnej spotykaliśmy się dość często z socjalistami obu partyj — S. D. i P. P. S. Wytykali nam, że bałamucimy lud, opowiadając mu o jakiejś tam Polsce, która jest potrzebna tylko klerowi i szlachcie, nigdy zaś robotnikowi, który musi walczyć z kapitalizmem łącznie z bratem robotnikiem innych krajów.

Wydawnictwo „Polaka" już nam nie wystarczało i niebawem ujrzeliśmy nowe pismo, „Kiliński". Wychodził on już w Warszawie, oczywiście nielegalnie. W „Kilińskim" uwzględniano już więcej sprawy robotnicze, gdyż w „Polaku" pisano przeważnie o sprawach ogólno narodowych.

Głód bibuły był tak wielki, że okazała się potrzeba stałego dostarczania jej, podczas gdy dotąd jeździł ktoś po nią dorywczo. Takim stałym dostawcą bibuły został Jeżykowski, który na tym stanowisku wytrwał przez cały rok. Wkońcu przecież policja zwróciła nań uwagę i musiał uciekać zagranicę, gdzie przebył półtora roku, a miejsce Jeżykowskiego skolei zajął Władysław Jankowski, pseud. Gruby.

Oprócz bibuły trzeba było sprowadzać broń, która spowodu organizowania zamachów na różnych dygnitarzy moskiewskich, zaczynała być coraz bardziej potrzebna. Jeździłem po broń często z Marcinem Środą, Leonem Stobieckim i Józefem Filipowiczem. Inne dzielnice nie jeździły po bibułę, pracę tę wykonywała tylko dzielnica Górna. Raz tylko jeden, pamiętam, dano mi do pomocy w przewiezieniu bibuły z dzielnicy staromiejskiej Wojciecha Filipczaka. Nie sprowadzały także bezpośrednio pism sąsiednie miasta, jak Pabjanice, Zgierz, Ozorków, Piotrków, Tomaszów, Zduńska Wola, bardzo często i Kalisz oraz okoliczne wioski i miasteczka, ba, nawet powiat opoczyński otrzymywał bibułę sprowadzaną przez dzielnicę Górną w Łodzi. W mojej rodzinnej wsi i okolicy rozpowszechniał bibułę, otrzymywaną ode mnie, kuzyn mój, Józef Pająkowski, który trudnił się tem aż do wybuchu wojny światowej i nawet jeszcze podczas wojny.

Kiedyś w Krakowie, gdy przyjechałem po bibułę z Marcinem Środą i Stobieckim, mieliśmy zajście z komisarzem austrjackiej policji, Polakiem. Zatrzymaliśmy się na noc w „Chrześcijańskim Domu Noclegowym" niejakiego Ciepłuchy. W nocy podczas snu złożył nam wizytę komisarz policji z Ciepłuchą. Poczęto nas badać cośmy za jedni. Od-

powiedziałem komisarzowi, że nie powiemy, bo może mamy do czynienia z moskiewskim szpiclem. Ciepłucha zakomunikował wtedy komisarzowi, że jesteśmy z Łodzi. Wówczas ów komisarz zaczął do nas przemawiać w języku rosyjskim. No i oczywiście rosyjskim stylem zaczął nam psioczyć. Ciepłucha objaśniał nas, że jego towarzysz jest przedstawicielem krakowskiej policji. Wreszcie, gdyśmy się dogadali i zakomunikowałem, że przyjechaliśmy do Stefana Biernackiego z redakcji „Polaka", komisarz zmienił się odrazu w stosunku do nas i nawet nas przeprosił. Następnego dnia był także z wizytą u Biernackiego i również go przepraszał.

Pierwsze numery „Kilińskiego" były hektografowane i czasami druk był tak zamazany, że nie można było nic odczytać. Było to w 1902. Między młodzieżą narodową i starszymi działaczami istniał wówczas dość znaczny antagonizm. Starzy młodym zarzucali zbytnią rewolucyjność, młodzi starym niedocenianie spraw rzemieślniczych i robotniczych. Ale gdy się przyjechało do Warszawy, to zawsze, czy młodzi, czy starzy, przyjmowali nas z radością i wszyscyśmy wspólnie pracowali. W latach 1901 — 1904 T. O .N. rozwinęło się bardzo. Pracowano nietylko nad propagandą, ale urządzano także w prywatnych mieszkaniach tajne szkoły dla robotników. Opiekowałem się kilkoma takiemi szkołami: jedna była w domu fabrycznym Leona Alarta, w mieszkaniu majstra tej fabryki Kaźmirskiego, druga w mieszkaniu Ignacego Borkowskiego przy ul. Kątnej 60, trzecia w mieszkaniu Jana Najmana przy ul. Wólczańskiej, czwarta w mieszkaniu Andrzeja Denysa na Rokiciu, piąta na tymże Rokiciu u Kosteckiego, wreszcie szósta na szosie pabjanickiej w monopolu spirytusowym. W szkołach tych uczyła Bronisława Bondy, Kokieli i kilka innych osób z inteligencji, których nazwisk nie znałem.



Władysław Jankowski

Niebawem powstał N. Z. R. Organizacyjne zebranie odbyło się w mieszkaniu Pawła Małachowskiego w domu Geyera przy ul. Piotrkowskiej. Do pierwszego zarządu weszli: Małachowski, Wojewódzki, Tochterman, Posiak, Jeżykowski, Jankowski, Jan Michalak, Tyszka, Tomasz Józefiak, Antoni Michałkiewicz, Bolesław Benedek i Włodzimierz Eborowicz.

Jednocześnie w tym samym dniu i w tym samym lokalu powołano do życia sądy koleżeńskie, aby członkowie N. Z. R. w razie potrzeby nie musieli uciekać się do sądów państwowych. Sądy te miały dużo roboty, zwłaszcza przy zatargach z pracodawcami. Spełniały one swoją rolę bez zarzutu.

Tu należy poświęcić kilka słów Tochtermanowi. Nie umiem po-

wiedzieć, jakim był Tochterman w życiu prywatnem, bo jako robotnika, mimo łączności ideowej i organizacyjnej, nie wiązały mnie z nim żadne węzły ani przyjaźni, ani znajomości osobistej, znaliśmy się tylko jako ludzie wspólnej pracy w N. Z. R., tak, jak znałem się z wielu innymi inteligentami w partji. Ale, sądząc z częstego z nim obcowania na zebraniach zarządu okręgowego człowiek ten, nawet gdy się smucił, gdy na twarzy jego rysowała się jakaś poważna troska, zawsze był uśmiechnięty. W obecności Tochtermana nie mogłeś być ponurym, nie mogłeś się gniewać„ nie mogłeś nie być dobrym.

Jakże miło jest wspomnieć, że obcowało się kiedyś w życiu z człowiekiem dobrym. Jestem pewny, że nie znajdzie się ani jeden robociarz spośród tysięcy robotników łódzkich, którzy znali Tochtermana, aby nie wspominał o nim ze wzruszeniem.

Nie mogę także nie wymienić Wacława Wojewódzkiego, który był faktycznym kierownikiem łódzkiego N. Z. R. Dwaj ci ludzie — Tochterman i Wojewódzki — byli duszą partji i bez nich trudno byłoby dzisiaj wyobrazić sobie N. Z. R. w Łodzi, w pierwszych latach jego istnienia.

Trzecim wybitnym kierownikiem i twórcą N. Z. R. w Łodzi był Paweł Małachowski, w którego mieszkaniu przy ul. Piotrkowskiej, w domu fabrycznym Geyera odbyło się wiele zebrań zarządu okręgowego łódzkiego. Małachowski też, obok Wojewódzkiego i Tochtermana, był doskonałym mówcą wiecowym. Dwa lokale w Łodzi były centralą roboty enzeterowskiej: Małachowskiego oraz wspólne mieszkanie kawalerskie Wojewódzkiego, Tochtermana i Benedeka przy ul. Piotrkowskiej róg Radwańskiej. Tam się naradzano, tam przygotowywano materjał do „Robotnika Polskiego“, potem do „Głosu Robotnika“, tam pisano odezwy. Ci ludzie stanowili główny sztab okręgu łódzkiego N. Z. R. Współpracowali z nimi piórem Ludwik Bondy, Jan Leśniewski, Bolesław Benedek, Ludwik Stegmann i inni.

W okresie represji przeciwko działaczom enzeterowskim w Łodzi wszyscy ci ludzie byli narażeni na prześladowania, odbyło się w ich mieszkaniach po kilka rewizyj i wówczas to niektórzy: Tochterman, Małachowski i inni wyjechali zagranicę i przebywali na emigracji, Wojewódzkiego aresztowano. Przebył dłuższy czas w więzieniu w Piotrkowie i był jednym z oskarżonych w głośnym procesie, w którym wielu enzeterowców łódzkich zostało skazanych na więzienie, zesłanie lub katorgę (patrz Nr. 1 „Kilińskiego", styczeń 1936).

Na terenie fabryk powstawały starcia z socjalistami, którzy drwili z naszych uczuć patrjotycznych. Gdy podczas procesji Bożego Ciała policja zabrała nam orły z poduszek i z takimż orłem sztandar, socjaliści przez dłuższy czas kpili z nas, że nie będziemy teraz chodzili z „białą gęsią“, bo zabrali ją nam Moskale. Natomiast dla swoich czerwonych sztandarów, z którymi spacerowali często po salach fabrycznych, żądali od nas czci i zmuszali do zdejmowania czapek. Opornych bito. Wynikały z tego częste awantury i bójki. Spoczątku, zanim urośliśmy w siłę, socjaliści dość naszych ludzi nabili i poturbowali. Myśmy się bronić nie mogli, nawet gdy było nas dużo, bowiem organizacja była konspiracyjna i kółkowa, czyli mogło nas być dużo w fabryce, a o so-

bie nic nie wiedzieliśmy. Sytuacja zmieniła się zasadniczo z chwilą, gdyśmy zreorganizowali partję na system fabryczny.

Rozpoczęliśmy też wówczas energiczną działalność wiecową po fabrykach. Na wiece fabryczne przychodzili: Wojewódzki, Tochterman, Małachowski, Leśniewski, Morsztynkiewicz i inni. Zasłynęli wówczas także jako mówcy robotnicy: Józef Jatczyk, Teodor Szybiło, Walenty Michalak, Millerowicz (zabity potem w walkach bratobójczych), w dzielnicy bałuckiej Michałkiewicz i Tomasz Marciniak (postrzelony w walkach bratobójczych przez socjalistów). Widywano również na wiecach robotniczych proboszcza z Chojen, księdza Michała Stefańskiego.

Oprócz zebrań w mieszkaniach robotniczych i wieców w fabrykach, urządzało się czasem zbiorowe wycieczki poza miasto, głównie do lasów. Na wycieczki te wybierały się liczne rzesze zorganizowanych, dochodzące niekiedy do tysiąca ludzi. Trzeba było robić to bardzo ostrożnie, albo też poprostu traktowało się takie wycieczki jako t. zw. majówki z myzyką. Taką majówkę urządzono w Charzewie. Na takiej majówce na Kowalszczyźnie za Chojnami mieliśmy starcie z Moskalami.

Trzeba trafu, że w sąsiednim lasku, odległym o jakiś kilometr, taką samą zabawę urządzali Niemcy. Na niemieckiej majówce byli strażnicy. Ponieważ było to w okresie, gdy każdy policjant inaczej nie pokazywał się na ulicy, jak w towarzystwie dwóch sołdatów, prawdopodobnie dla sprawdzenia terenu, po okolicy rozjechali się konni strażnicy. Dwaj z nich trafili do lasku, gdzie odbywała się nasza majówka. Zapytali o pozwolenie na urządzenie majówki. Pozwolenia oczywiście nie mieliśmy, ale strażnicy otrzymali łapówkę i odjechali. Oświadczyli tylko, żeby dla przyzwoitości udać się do starszego strażnika gminnego, a on niewątpliwie na zabawę pozwoli. Wobec strażników występowaliśmy jako robotnicy którejś tam fabryki z okolic Górnego Rynku.



Leon Tochterman

Do gminy udali się Andrzej Pilarski i Jatczyk. Ale starszy strażnik nawymyślał im od rewolucjonistów i pozwolenia na majówkę nie dał. Ano cóż, trudno. Robotnicy jednak nie chcieli się rozejść. Ponieważ spodziewaliśmy się, że nas rozpędzą, postanowiliśmy skorzystać z czasu, dopóki to się nie stanie i urządzić wiec, boć przecież to było naszym głównym na dzisiaj celem. Po wygłoszeniu przemówień rozpoczęła się zabawa. Z sąsiedniego lasku dochodziły nas odgłosy muzyki zabawy niemieckiej.

Około południa dostrzegliśmy jadący od lasku, gdzie bawili się Niemcy, oddział policji konnej i kozaków. Za policją szedł tłum

uczestników zabawy niemieckiej. Szli w naszym kierunku. Młodzież enzeterowska postanowiła bronić się przed atakiem policji i szwabów, ale starsi koledzy wyperswadowali im nierozważny krok — nierozważny dlatego, że na majówce było dużo kobiet. Walka taka musiałaby się skończyć naszą przegraną, bo jednak policjantów było kilkunastu i coś około 50 kozaków, no i szwabi, którzy przecież działali solidarnie z policją rosyjską i, kto wie, czy nie ich to była inicjatywa, żeby nam, robotnikom polskim dokuczyć.



Józef Filipowicz

Tedy wszyscy ci, którzy posiadali broń, wycofali się z lasku. W chwilę potem policja i wojsko przypuściły atak i nahajkami oraz szablami rozpędziły uczestników majówki. Było kilka osób poturbowanych, ale ostatecznie poważniejszych następstw nie było. Dwóch kozaków jednak zadaleko zapędziło się za uciekającemi majówkowiczami i padły strzały. Kozacy, z których jeden został raniony, zawrócili do swoich. Gdy później przyjechało ich w to miejsce więcej, naszych ludzi już tam nie było.

Urządzano również wycieczki do lasów, gdzie uczono się obchodzić z bronią.

Organem N. Z. R. w Łodzi był „Robotnik Polski". Niezależnie od tego w dalszym ciągu sprowadzaliśmy bibułę z Krakowa i Warszawy. Wiele zasług położył tutaj Jankowski, który niezmordowanie pracował, czyniąc ze swego mieszkania istną księgarnię.

Po powstaniu „Polskiej Macierzy Szkolnej", „Sokoła" i związku zawodowego „Jedność", T. O. N. rozwiązało się, zostawiając całą akcję nad uświadamianiem i organizowaniem robotników N. Z. R-owi.

Urządziliśmy raz wielką wycieczkę do Rzgowa. Był to dzień odpustowy. Na rynku przed kościołem zwołaliśmy wiec, na którym przemawiał Szybiłło. I kiedy zawołał: „a ja widzę, że tutaj jeszcze Moskwa w gminie panuje", ludność rzuciła się na gminę i na sąd gminny i rosyjskie szyldy zniszczyła.

Innym razem enzeterowcy w olbrzymiej masie udali się na odpust do Łagiewnik. Dochodząc do Łagiewnik, rozwinęliśmy sztandar z białym orłem i z trzema literami: N. Z. R. We drzwiach kościoła stał strażnik w czapie. Przyszedł pewnie nas przestraszyć. Tłum wcisnął między siebie Moskala i przewróciwszy, stratował na śmierć. — niby niechcący. Tak potem pisały o tem dzienniki łódzkie. Po tym wypadku Moskale drogę z Łagiewnik do Łodzi obstawili wojskiem, ale ludzie z odpustu wracali polami i lasami.

W świątyniach łódzkich w każdą niedzielę po sumie odprawiało się nabożeństwo dla katolików niemieckich; na nabożeństwie śpiewał chór niemiecki. Enzeter łódzki po sumie organizował śpiewy patrjotyczne

pieśni zakazanych, wskutek czego w kościołach wynikało zamieszanie. Organista nazwiskiem Kulesza, grał wówczas na organach pełnym akordem w celu zagłuszenia śpiewu narodowego, rozśpiewanego ludu jednak nie zagłuszył. Takie robienie naprzekór przez organistę trwało stale. Był i ksiądz w kościele św. Krzyża — nazwiska jego nie wymienię, bo dziś wstydziłby się napewno swojego wówczas postępowania. Ksiądz ten, słysząc śpiew „Boże coś Polskę“, uważał to za zniewagę domu Bożego — tak przynajmniej dowodził, chociaż może powodowały nim inne pobudki — i padał krzyżem przed wielkim ołtarzem, krzycząc na cały kościół, że przeprasza Boga i czyni pokutę za śpiewających buntownicze pieśni.

Ale był i inny ksiądz, — Bakalarczyk, który chodził po kościele i śpiewał pieśń narodową razem z ludźmi. Trwało to przez kilka niedziel. Ale pewnej niedzieli, w pierwszych dniach maja 1908 sprowadzono przed kościół wojsko. Padły strzały i było wiele ofiar. Raniono wówczas ciężko Franciszka Salskiego, któremu potem amputowano nogę. Kościół był oblegany przez wojsko od południa do godz. 9 wieczorem. Moskale nie wiedzieli, jak wybrnąć z kłopotliwej sytuacji, bo do kościoła wojsku wchodzić jakoś nie wypadało, a ludzie śpiewali, nie bacząc na oblężenie. Przez cały ten czas ksiądz Bakalarczyk był w kościele i zagrzewał lud do wytrwania. Proboszcz, ksiądz kanonik Szmidel, tak się gdzieś ukrył, że ksiądz Bakalarczyk telefonował z zakrystji wszędzie, gdzie tylko miarkował znaleźć proboszcza. Napróżno. Kto przyczynił się do tego, że nas wreszcie z kościoła zwolniono, nie wiem, mówiono, że ks. Rembieliński ze Zgierza, ale czy tak było, nie byłem w stanie ustalić. Mimo tego krwawego zajścia, w kościołach nie przestano śpiewać pieśni narodowych, choć przyznam, że odtąd mniej ludzi na śpiewy uczęszczało. Całkiem śpiewać przestano dopiero za czasów Kaznakowa, gdy setki działaczów enzeterowskich w Łodzi dostało się do więzienia.



Walenty Michalak

Następnego dnia po krwawej masakrze przed kościołem św. Krzyża, ludzie schwytali na majowem nabożeństwie szpicla Antoniego Maciaszka, który kreślił na plecach śpiewających pieśni patrjotyczne kredą znaki, żeby potem na ulicy policja wiedziała kogo aresztować. Pobito go do utraty przytomności, a gdy przybyła karetka pogotowia, rozgniewany tłum nie pozwalał udzielić mu żadnej pomocy. Zjawienie się kozaków dopiero umożliwiło odwiezienie Macieszka do szpitala, lecz w drodze zmarł.

Chciałbym tutaj podać kilka przyczynków do dziejów walk bratobójczych, bo o tych sprawach mówi się zazwyczaj albo bardzo dyskretnie, albo się wiele faktów przemilcza. Rozumiem, że dla niektórych organizacyj czy ludzi jest niebezpiecznie o tem mówić, ale skoro spotykamy się z publikacjami kłamliwemi, starającemi się zohydzić w historji narodowy ruch robotniczy, to nam milczeć nie wolno.

Był taki bojowiec pepesowski, Michał Bieniak, który w walkach bratobójczych zabił kilku swoich towarzyszy partyjnych, wysługując się Moskalom jako ochrannik. Zabójstwa te były zaliczone na rachunek narodowców. Prawda wyszła najaw dopiero później, ale o tem dzisiaj się nie mówi. Przy ul. Kątnej róg Braterskiej został zamordowany członek komitetu Socjaldemokracji Rudolf Foler, którego zabili właśni towarzysze dla jakichś tam porachunków partyjnych czy osobistych. Niedaleko fabryki Fuksa na Kątnej postrzelono również Antoniego Sobczyka, socjalistę, którego również nie narodowcy postrzelili, chociaż ich za to winiono. Kto wie, czy nie była to robota tych socjalistów, którzy wysługiwali się ochranie.

Wobec powołania do życia związków zawodowych „Jedność", N. Z. R. sprawami ekonomicznemi mniej się potem zajmował i tem energiczniej rozpoczął pracę polityczną i spółdzielczą. Między innemi założono tkalnię spółdzielczą przy ul. Wólczańskiej. Kierownikiem tkalni był Wacław Morsztynkiewicz. Fabryka rozwijała się dobrze, ale gdy Morsztynkiewicz zmarł, niedostatecznie jeszcze wyrobieni w kierunku spółdzielczości robotnicy, nie umieli poprowadzić fabryki sami i pogodzić się, wskutek czego spółdzielnię zlikwidowano. Sklepy natomiast rozwijały się i wiele z nich istnieje dodziśdnia.

W tym czasie powstała w Łodzi Chrześcijańska Demokracja, której założycielem był ksiądz Jan Rogoziński. Organem łódzkiego N. Z. R. było pismo p. n. „Robotnik Polski". Pismo to cieszyło się wśród robotników wielką popularnością. Chrześcijańska Demokracja, postępując zupełnie nie po chrześcijańsku, zaczęła wydawać pismo pod tym samym tytułem. Pismo chadecji było oczywiście legalne. Gdyśmy się zwrócili z protestem do zarządu chadecji, na którego czele stał ksiądz Rogoziński, poradzono N. Z. R-owi, żeby zaskarżył Chrześcijańską Demokrację do sądu. Była to oczywiście perfidja, ksiądz Rogoziński bowiem zdawał sobie doskonale sprawę, że N. Z. R., jako partja nielegalna, nie pójdzie się skarżyć do Moskali. N. Z. R. nie miał innej rady, jak zmienić tytuł pisma na „Głos Robotnika", wyjaśniając w pierwszym numerze dlaczego to czyni. Oszustwo chadeckie na nic się księdzu Rogozińskiemu nie zdało, bo robotnicy nie dali się ocyganić. Pewna ilość mniej wyrobionych naszych ludzi, a raczej tylko niektórzy nasi sympatycy poszli do chadecji, ale to nam tylko pomogło, bo odpadł niepotrzebny balast.

Wypada mi teraz dać kilka wyjaśnień w sprawie rozłamu z N. D. Po zjeździe rozłamowym odbyło się w dzielnicy Chojny przy ul. Krakusa 36 zebranie przedstawicieli fabrycznych N. Z. R. Sprawozdanie ze zjazdu zdawał Walenty Michalak, który był uczestnikiem zjazdu. Dowiódł on wprawdzie konieczności rozejścia się z N. D., ale nie mogłem przeboleć tego, widząc, że rozdwojenie prowadzi do osłabienia organizacji, i postanowiłem zrezygnować z pracy w zarządzie partji. Po-

Działacze robotniczy N.Z.R. z dzielnicy Górnej w Łodzi



Siedzą od prawej: Piotr Samulski, Jan Kostecki, Jan Posiak, Wawrzyniec Fijałkowski. Stoją: Leon Muszyński, Antoni Kitliński, Ignacy Sroka Józef Antoniewski, Stanisław Kubasiewicz i Władysław Kołodziej.

daliśmy sobie z Michalakiem ręce jak najlepsi przyjaciele, ale czułem się złamany i musiałem wypocząć. Pozostałem w szeregach N.Z.R. jako zwykły członek.

W 1908 rozpoczęły się represje przeciwko N. Z. R., ale partja broniła się i dokonała w tym czasie kilka zamachów na przedstawicieli władzy rosyjskiej w Dąbrowie Górniczej, Kielcach, Radomiu i w innych miastach. Dokonano także nieudałego zamachu na gubernatora łódzkiego Kaznakowa, ale tych spraw bliżej nie znam i niechaj piszą o nich inni, przytem nie wiąże się to z działalnością Górnej dzielnicy, ale całego N. Z. R.

Dla statystyki podaję jeszcze na zakończenie, że od 1905 do 1908 w dzielnicy Górnej zostali zabici lub ranni przez Moskali enzeterowcy: Józef Modraszka — zabity 25/III 1905 na szosie pabjanickiej; Walczak — zabity na Górnym Rynku; tego samego dnia zginął przed portjernią fabryki koronkowej Geyera Kaczyński. W 1905 powieszono Józefa Płocka, rozstrzelano braci Kucharskich, powieszono Marcina Szadkowskiego za zabicie żandarma; Bronisław Zych został aresztowany i zbity przez Moskali tak, że zmarł potem w więzieniu; ranni przez Moskali: Gajda na Piotrkowskiej oraz Aleksander Orłowski i Jan Sobczyński w Zarzewie.

Ludwik Dziąg

ZE WSPOMNIEŃ KILIŃCZYK

W roku 1900 jako pracownik zakładu bronzowniczego Br. Łopieńskich, uczęszczałem na wieczorowe kursy rysunków, istniejące w gimnazjum rosyjskiem przy ul. Hr. Berga w Warszawie. Tam poznałem się z Adamem Rappem, pracownikiem zakładu rzeźbiarskiego. Po pewnym czasie otrzymałem od kol. Rappa czasopismo „Polak“ wydawane w Krakowie. W toku prowadzonej z Rappem dyskusji wyraziłem chęć przystąpienia do organizacji, na co otrzymałem zapewnienie, że kółko takiej organizacji jest w stadjum organizowania się i niebawem będę mógł doń wstąpić.

Pierwsze zebranie odbyło się w październiku 1900, w mieszkaniu rodziców kol. Leona Kwiatkowskiego na Solcu. Zebrani koledzy w liczbie kilkunastu, w oczekiwaniu na prelegenta, urozmaicali sobie czas śpiewem i deklamacją. Po przybyciu prelegenta, którym był młody adwokat Stefan Dziewulski, nastąpił odczyt o powstaniu listopadowem. Po odczycie uchwalono, aby w celu poruszenia ospałego społeczeństwa odśpiewać publicznie w kościele na Koszykach hymn „Boże coś Polskę“. Projekt powyższy przyjęty został z entuzjazmem i w najbliższą niedzielę na rannej mszy hymn został odśpiewany. Był to pierwszy występ młodzieży narodowej, który poruszył Warszawę. Opowiadano

szeroko, jak w czasie śpiewu kościół został otoczony policją i wszyscy manifestanci zostali aresztowani, choć to nie było prawdą. W manifestacji brali udział, prócz mnie, koledzy: Adam Rapp, A Rygalski, R. Kwiatkowski, K. Kwiatkowski, Br. Ziejewski, Wł. Praski, G. Rybiński, Klimek, „Florek", I. Dziąg i inni, których nazwisk nie pamiętam.

Po kilku miesiącach należenia do organizacji starałem się szerzyć ideę niepodległości w kołach znajomych i współtowarzyszów pracy w zakładzie Br. Łopieńskich. Przy pomocy nielegalnej literatury udało mi się zainteresować i wciągnąć do organizacji Edmunda Bernatowicza, Józefa Wasilewskiego, Władysława Kizlera z zakładu Br. Łopieńskich, oraz pozyskać grono sympatyków w tymże zakładzie. W 1901 zorganizowałem kółko w dzielnicy „Powiśle", następnie drugie, którego prowadzenie powierzyłem mojemu bratu. Po pewnym czasie, wobec powiększenia liczby kółek, zostałem wybrany na dzielnicowego Powiśla, a kółko, którego byłem przewodniczącym, powierzyłem Bernatowiczowi.


Ludwik Dziąg

Pierwszymi wykładowcami na kółkach byli koledzy studenci: Przemysław Podgórski, Lenkiewicz, Wojewódzki, S. Wilkoszewski, Alfons Bogusławski, Kozielewski, Edmund Jankowski (prawnik), B. Wasiutyński, R. Biedrzycki, K. Juszczakowski, M. Leśniewski i inni. Niezależnie od wykładów na kółkach, gdzie była głównie prowadzona nauka geografji i historji Polski, został zorganizowany komplet, na którym udzielał wykładów stylistyki Stefan Dziewulski. Wykłady powyższe odbywały się w niedziele w godzinach południowych w mieszkaniu prelegenta przy ul. Podwale 4. Słuchaczami byli Adam Rapp, Br. Ziejewski, Rygalski, „Florek", L. Dziąg i I. Dziąg. Na komplecie powyższym opracowywano pierwsze artykuliki do „Kilińskiego", który w tym czasie (r. 1904) był odbijany na hektografie i ukazywał się dość nieregularnie.

Wielkiem powodzeniem cieszyły się wycieczki, urządzane w letnich miesiącach do lasów wawerskich, gdzie na świeżem powietrzu słuchano odczytów, prowadzono dyskusje polityczne, uprawiano gimnastykę pod kierunkiem Stefana Dziewulskiego i Stanisława Cholewińskiego, oraz ćwiczono się w śpiewie. Od chwili powstania Zw. im. Jana Kilińskiego, liczebność kółek stale wzrastała. Na czele kółek stali kilińczycy o dużem wyrobieniu społecznem, zapaleni ideowcy, jak: Władysław Brzeziński, Walenty Baranowski, Władysław Kizler, L. Kwiatkowski, Wincenty Sosnowski, K. Riedel i wielu innych.

W 1903 został zorganizowany przez Marję Dzierżanowską „Uniwersytet Ludowy". Każdy członek organizacji „Młodzieży" obowiązany był uczęszczać na wykłady. Zapisywano się głównie na kursy: pisowni, stylistyki, geografji i historji Polski. W celu uzyskania sprawności fi-

zycznej członkowie organizacji ćwiczyli się w gimnastyce sokolskiej w zakładzie R. Grafa przy ul. Foksal, T. Grafa przy ul. Leszno i w zakładzie B. Olszewskiego w Alejach Jerozolimskich.

Organizacja stopniowo rozszerzała swoją działalność; prowadziła akcję bojkotową zabaw ludowych w parku na Pradze, teatru ludowego przy ul. Ciepłej — imprezy prowadzone były przez rządowe t. zw. „Kuratorjum Trzeźwości", bojkotowano pismo prorządowe i moskalofilskie „Oświata", które drukowano w języku polskim, a wszystkie gminy i szkoły obowiązane były je prenumerować.

W celu zaprotestowania przeciwko akcji rusyfikacyjnej i przeciwkatolickiej, którą uprawiały księgarnie rosyjsko-litwackie przez rozpowszechnianie książek o ubliżających naszym uczuciom polskim i katolickim tytułach, wybito w 1901 szyby w księgarni Sytina na Krak. Przedm. Na skutek powyższego wystąpienia, książki, o które nam szło, zniknęły z okien wystawowych wszystkich księgarni żydowsko-rosyjskich.

W czasie wojny rosyjsko - japońskiej ugodowcy polscy, pragnąc zamanifestować swoje uczucia wiernopoddańcze, postanowili ufundować szpital, rzekomo dla rannych Polaków na froncie. Akcja ta wywołała burzę wśród uświadomionego narodowo społeczeństwa polskiego. Czynnym protestem było wybicie szyb w domach inicjatorów i ofiarodawców funduszów na powyższy szpital, t. j. w pałacu Kronenberga, ks. Czetwertyńskiego i Szlenkiera. W wystąpieniach tych brała wyłącznie udział Narodowa Młodzież Robotnicza i wtedy nastąpiły pierwsze aresztowania wśród uczestników demonstracji. Aresztowani zostali Bronisław Ziejewski, Feliks Stankowski i Józef Rybiński.

Aresztowania nie osłabiły zapału wśród ogółu „Młodzieży", w dalszym ciągu kolportowano i rozklejano na ulicach Warszawy odezwy przeciwmobilizacyjne, prowadzono akcję za wycofywaniem oszczędności z banków i kas rządowych, w czem pomocni byli nauczyciele i nauczycielki szkół powszechnych, organizując zebrania rodzicielskie, na których kilińczycy prowadzili odpowiednią propagandę.

W miarę wzrostu organizacji, niektórzy kilińczycy byli wprost przeciążeni pracą, energiczniejsze i pracowitsze jednostki pełniły jednocześnie wiele obowiązków, tak, że wszystkie wolne chwile poza sprawami zawodowemi mieli wypełnione pracą społeczną.

Ja osobiście pełniłem funkcję dzielnicowego 1903—4, przewodniczącego Zw. im. Jana Kilińskiego od 12/III 1905 do 28/VII 1905, zastępcy przewodniczącego od 28/VII do listopada 1905 r. i członka kom. redakcyjnej „Kilińskiego"; w Uniwersytecie Ludowym: słuchacza, gospodarza kompletu i członka zarządu Uniw. Ludowego; w kompletach gimnastycznych: członka ćwiczącego, gospodarza kompletu, a następnie w „Sokole" członka wydziału III-go gniazda.

Pomimo tak licznych obowiązków, wybitniejsi kilińczycy jeździli po bibułę do Krakowa lub Zagłębia i z zadania wywiązywali się pomyślnie.

Przemycali bibułę: Adam Rapp, Przemysław Podgórski, Br. Ziejewski, Miecz. Bujalski, E. Bernatowicz i inni. Ja osobiście przewiozłem wspólnie z kol. Z.Sykulskim partję bibuły z Dąbrowy Górniczej w zimie 1904—5. W drodze powrotnej tylko szczęśliwemu zbiegowi oko-

liczności zawdzięczaliśmy, że nie zostaliśmy aresztowani, gdyż szpicle, którzy obserwowali na dworcu w Dąbrowie stojących w ogonku podróżnych, zajęli się jakąś awanturą i przepuścili nas do pociągu, dzięki czemu transport w całości udało się przewieźć do Warszawy. We wrześniu 1904 delegowani byliśmy z kol. Ludwikiem Piętką, jako przedstawiciele Nar. Mł. Robotniczej na odsłonięcie pomnika Bartosza Głowackiego do Tarnobrzegu w Małopolsce.

W Dąbrowie Górniczej spotkaliśmy kilkunastu delegatów z organizacyj włościańskich, pomiędzy nimi dwóch księżaków w barwnych strojach ludowych.

W nocy, pod opieką przemytników, przeszliśmy granicę pod Sławkowem i przybyliśmy pieszo do Ciężkowic po stronie galicyjskiej. Wrażenia, doznane przy przejściu granicy, a następnie przy zwiedzaniu pamiątek Krakowa oraz uroczystości w Tarnobrzegu pozostawiły w pamięci niezatarte wspomnienia.

W drodze powrotnej, dzięki zdobyciu przepustki w Krakowie, udało mi się przebyć granicę, lecz jako podejrzany, byłem badany przez żandarma w Granicy. Następnie żandarm powierzył mnie opiece konduktora, który, będąc szpiclem, usiłował wydobyć ze mnie wiadomości dokąd jadę. Po przybyciu pociągu do Ząbkowic, pozostałem pod opieką miejscowego żandarma, do chwili przybycia pociągu, którym miałem pojechać do Dąbrowy. Po przybyciu pociągu i ulokowaniu mnie w przedziale otrzymałem od żandarma przepustkę, a na stacji w Dąbrowie ruszył w ślad za mną szpicel, któremu jednak udało mi się uciec. Kolega L. Piętka, wracając inną drogą, na Tomaszów Lubelski, zgubił się w lesie przy przejściu granicy i przez straż graniczną został aresztowany. Po półrocznem więzieniu w Tomaszowie uwolniono go na zasadzie amnestji.

W okresie rewolucyjnym organizacja poniosła duże straty, wskutek dokonanych licznych aresztowań. Aresztowani zostali: Bronisław Ziejewski za zbieranie składek na cele Związku i więziony w Sieradzu przez kilka miesięcy, Stanisław Skwarek, Władysław Kizler i inni, za wystąpienia przeciwko szkołom rosyjskim, Leon Kwiatkowski za pracę niepodległościową w Lubelszczyźnie, więziony w Zamościu, a następnie skazany i zesłany na dwa lata do Wołogdy. Józef Wasilewski, B. Tabęcki, oraz kilku innych kolegów za kolekturę loterji t. zw. „Lwowskiej", z której dochód przeznaczony był na cele narodowe.

W roku 1907 aresztowani zostali koledzy: Piotr Klimczyk, T. Markowski i Kaczyński i skazani zostali na kilkuletnią katorgę oraz osiedlenie na Syberji. Z zesłania powrócił tylko Markowski, natomiast o Klimczyku i Kaczyńskim nie otrzymałem żadnych wiadomości.

Ja osobiście, pomimo licznych niebezpiecznych sytuacyj, dzięki wyjątkowemu szczęściu, uniknąłem aresztowania, jak również zamachu na moje życie.

W jesieni r. 1905, będąc na ćwiczeniach „Sokoła" na Dynasach, dowiedziałem się od kolegi Kosterskiego, (którego brat był pepesowcem), że na 10-ciu najwybitniejszych kilińczyków wydany został przez partję P. P. S. wyrok śmierci. Na liście wymienieni byli: Walenty Baranowski, ja, oraz inni koledzy, których nazwisk nie zapamiętałem. Nie przejmując się zbytnio powyższą wiadomością, która, jak sądziłem,

miała na celu rzucenie postrachu w szeregi kilińczyków, zachowałem jednakże pewne środki ostrożności, które, jak się następnie okazało, nie były bezpodstawne. Co kilka dni nachodziły mieszkanie moich rodziców różne podejrzane indywidua, starając się pod różnemi pretekstami stwierdzić, czy jestem obecny. W przewidywaniu podobnych wizyt, zamieszkałem na pewien czas gdzieindziej i dzięki temu uniknąłem śmierci lub w najlepszym razie kalectwa.

W każdym razie przeżyłem wtedy wiele. Po pewnym czasie, wróciwszy do poprzedniego mieszkania, wychodziłem rano do pracy i spotkałem pode drzwiami w korytarzu podejrzane indywiduum. Przeczuwając, z kim mam do czynienia, zbiegłem szybko z czwartaka na ulicę i zauważyłem, że zbir przyśpiesza kroku i idzie za mną. Na ulicy starełem się oddalić od ścigającego mnie osobnika i dopiero na Nowym Świecie straciłem go z oczu. W następstwie przez dłuższy czas stosowałem wszelkie środki ostrożności,gdyż zabójstwa ś. p. Piotrowskiego, następnie Baranowskiego przekonały mnie, że przeciwnicy polityczni nie zawahają się przed użyciem środków ostatecznych w celu pozbycia się znienawidzonych przez siebie narodowców.

Przykładem mojego wyjątkowego szczęścia jest fakt, który zdarzył się w lecie 1906. Przenosząc pod peleryną większą ilość bibuły ze składu przy ul. Widok, spotkałem się na rogu Książęcej i Nowego Światu z kol. Gromadzkim z fabryki Lilpopa. Gromadzki, idąc z Powiśla, zapytał mnie czy nie mam przy sobie bibuły, gdyż w dole grasują liczne patrole i nie przepuszczają nikogo bez rewizji. Po usłyszeniu tej wiadomości zawróciłem natychmiast i bibułę pozostawiłem u kol. Tabęckiego na placu 3-ch Krzyży. Wracając na Powiśle, zostałem na ul. Książęcej trzykrotnie zrewidowany i gdyby nie opatrznościowe spotkanie z Gromadzkim, sprawa ta skończyłaby się dla mnie katastrofalnie.

Nadmiar obowiązków w organizacji odbił się b. ujemnie na mojem zdrowiu, uległem zupełnemu wyczerpaniu nerwowemu, do czego przyczyniły się szalone bóle w nodze, które odczuwałem szczególniej w nocy. Niejednokrotnie na zebraniach opanowywała mnie niczem nieprzezwyciężona senność, przeciwko której broniłem się, wbijając sobie w ciało igłę, w celu oprzytomnienia. Zdając sobie sprawę, że dalsza moja praca w organizacji jest niemożliwa bez podreperowania zdrowia, zdecydowałem się na kurację. Na kilka dni przed udaniem się do szpitala (w styczniu 1907), idąc placem 3-ch Krzyży, spotkałem kol. Piechalaka, który zakomunikował mi, że lokal klubu kilińczyków przy ul. Chmielnej jest przez policję wykryty. Na uczynioną przeze mnie propozycję, abyśmy wspólnie powiadomili kolegów o wsypie, odpowiedział, że „boli go noga i nie ma czasu". Zachowanie się Piechalaka wydało mi się dość podejrzane, tembardziej, że nie udzielił mi odpowiedzi, skąd wie o wsypie. Nie mając możności, z powodu zbyt krótkiego czasu ostrzec kolegów każdego z osobna, postanowiłem udać się na ul. Chmielną i zawracać z drogi kolegów dzielnicowych, którzy w tym dniu mieli się licznie zebrać w klubie. Na godzinę przed zebraniem udałem się do domu, w którym mieścił się klub, w celu sprawdzenia, czy wiadomość, udzielona mi przez Piechalaka, jest prawdziwa. Po wejściu na podwórze, zauważyłem przed sienią oficyny, w której znajdował się lokal klubu, żołnierza z karabinem, co upewniło mnie ostatecz-

nie, że klub jest nakryty. Nie mogąc cofnąć się spowrotem, gdyż mogłoby to zwrócić uwagę wartownika, udałem się do kol. St. Karpińskiego (Młota), zamieszkałego w innej oficynie tego domu. Niestety, wpadłem z deszczu pod rynnę, gdyż po wejściu na 1 sze piętro, natknąłem się pod drzwiami Karpińskiego na szpicla z rewirowym, którzy widocznie w czasie przeprowadzanej rewizji wyszli zaciągnąć się papierosem. Nie tracąc zimnej krwi, przeszedłem obok policji o piętro wyżej i trafiłem do mieszkania jakiegoś szewca. W celu odwrócenia uwagi, znajdującej się na schodach policji, prosiłem majstra o użyczenie mi chwilowej gościny, lecz szewc, wiedząc o odbywającej się u Karpińskiego rewizji i obawiając się, że obecność moja może mieć dla niego przykre następstwa, kazał mi natychmiast opuścić mieszkanie, do czego rad nie rad musiałem się zastosować. Na szczęście, schodząc na dół, nie zastałem na schodach policji, wyszedłem zatem na ulicę, w celu zawracania śpieszącyh na zebranie kilińczyków.

Po pewnym czasie, przechadzając się przed domem, zauważyłem wybiegającego z bramy kol. Borowskiego, który pośpiesznie oddalał się w kierunku ul. Żelaznej. Pobiegłem za nim i zatrzymałem wielce przerażonego. Jak się okazało Borowski, którego nie nauważyłem wchodzącego do bramy, wszedł do lokalu nieoświetlonego i usłyszawszy w ciemności głos „kto idzie“, dał drapaka na ulicę. Będąc we dwóch, postanowiliśmy w dalszym ciągu pilnować domu i nie przepuścić do pułapki żadnego z kilińczyków, w tym celu zajęliśmy posterunki: Borowski od ul. Żelaznej, ja od ul. Sosnowej. Po chwili nadszedł Karpiński, nie przypuszczając, że w jego mieszkaniu odbywa się rewizja, a następnie inni koledzy, których powiadomiliśmy o wsypie.

Aresztowano jedynie gospodarza lokalu kol. Słomińskiego, który przechodził w tym dniu w godzinach rannych ul. Chmielną i zgubił paczkę bibuły; podniósł ją jakiś szpicel i Słomińskiego odprowadził do komisarjatu, co w następstwie przyczyniło się do nakrycia klubu. Słomiński, z zawodu malarz pokojowy, mający na utrzymaniu chorą matkę i nieletnią siostrę, został skazany na osiedlenie na Syberji i dalsze jego losy nie są mi znane.

Po przebytej operacji nogi i kilkotygodniowym pobycie w szpitalu, zmuszony byłem częściowo zrezygnować z pracy w organizacji, co jednakże nie wpłynęło na polepszenie się stanu mojego zdrowia. Po kilku miesiącach zachorowałem b. ciężko i zmuszony byłem ponownie poddać się operacji w następstwie czego zostałem kaleką.

Po długiej chorobie, trwającej wraz z rekonwalescencją prawie dwa lata, nie czując się zdolnym do pracy konspiracyjnej, opuściłem z przykrością szeregi bojowników o niepodległość, jak również, nie mogąc z powodu nadwątlonego zdrowia pracować jako cyzeler, musiałem przerzucić się do innego zawodu.

W czasie mojej długotrwałej choroby, wielu kolegów zostało aresztowanych, więzionych i skazanych na zesłanie. Ja osobiście uniknąłem podobnego losu jedynie wskutek mojej choroby.

Jan Posiak

PO ZABÓJSTWIE BEZYNGIERA I BITWA ZARZEWSKA

W dwa dni po zabójstwie Bezyngiera wezwano mnie na zebranie zarządu Okręgowego N. Z. R. Było to zebranie nadzwyczajne, zwołane w celu naradzenia się nad zbadaniem sprawy zabójstwa. Leon Tochterman odczytał nam w niemieckiej gazecie „Lodzer Zeitung", tłumacząc potem na polski, opis zabicia naszego kolegi. Ponieważ przed zbrodnią, zarówno zabójcy, jak i ich ofiara — Bezyngier, przebywali w restauracji Nikorowa przy ul. Długiej 6, zachodziło przypuszczenie, że może podłoże zbrodni nie miało tła politycznego i w takim wypadku sprawa ta nie absorbowałaby nas tak wielce. Opis w niemieckiej gazecie mówił wyraźnie, że socjaldemokraci zastrzelili narodowca polskiego.

Postanowiono zbadać sprawę gruntownie i w tym celu wyłoniono komisję, którąby na miejscu rzecz zbadała. Członek zarządu dzielnicy bałuckiej Jan Michalak, który znał Bezyngiera, pracował bowiem z nim w jednej fabryce, odrazu stanął na stanowisku, że zbrodnia ma podłoże polityczne. Robotnicy domagają się, ażeby za jednego narodowca zabić 10 socjalistów, ale obecny na zebraniu dr. Rząd oponuje przeciwko temu, wysuwając kwestję przedewszystkiem gruntownego zbadania sprawy i dopiero potem zastanowienia się nad nią.

Wydelegowano trzech członków zarządu do zbadania sprawy na miejscu. Udano się do restauracji Nikorowa, by zbadać przedewszystkiem jego, był on bowiem naocznym świadkiem zajścia w restauracji. Nikorow zeznał, że dnia poprzedniego wieczorem przyszła do restauracji grupa stałych bywalców w jego restauracji, robotników z fabryki Poznańskiego. Byli to: Ignacy i Teofil bracia Orłowscy, Konstanty Krauze, Adam Olczyk, Jan Wiśniewski i nieznanego nazwiska malarz z Kozin. Zajęli miejsce przy stoliku w osobnym pokoju. Po niejakimś czasie przyszła druga grupa i stanęła przed bufetem, prosząc o wódkę. W tej samej chwili z grupy, siedzącej w pokoiku odszedł jeden z Orłowskich i rzucił w stronę nowych gości: „no cóż, huligany, pijecie wódkę?" W odpowiedzi na to odparł jeden z gości przy bufecie: „tak, tak, łachy, huligany też lubią wódkę' (tu trzeba wyjaśnić, że socjaliści nazywali narodowców huliganami, narodowcy w odwet nazywali socjalistów łachami). Wtedy Orłowski wydostał z kieszeni rewolwer i strzelił w sufit, przeciwko czemu Nikorow zaprotestował, żądając, aby Orłowski wyszedł na ulicę i nie sprowadzał strzałami do restauracji policji. Narodowcy, nie chcąc wszczynać z socjalistami awantury, wyszli na ulicę. W tej samej chwili poderwali się od stolika socjaliści, wybiegając za narodowcami. W kilka chwil potem na Ogrodowej w sąsiedztwie padły strzały i Bezyngier został zabity.

Tak zeznał Nikorow, bezstronny świadek zajścia, które poprzedziło zbrodnię. Był on tembardziej bezstronny, że jako Moskalowi, nie zależało na ochranianiu żadnej z przeciwnych sobie stron. Tak samo zeznawali koledzy Bezyngiera, będący z nim w restauracji Nikorowa: Józef Adamczewski, Józef Nowak i Antoni Juszczyk.

Mimo to na zebraniu Zarz. Okręgowego zapadła uchwała przejścia nad zbrodnią do porządku dziennego i wyprawienia Bezyngierowi tylko manifestacyjnego pogrzebu, ażeby wykazać socjalistom swoją siłę narodową, a to może wpłynie na rozwagę z ich strony. Nie będę opisywał szczegółów samego pogrzebu, o czem wspomina kol. Jędraszczyk w Nr. 2 „Kilińskiego", pragnę tylko dodać, że nad grobem przemówienia wygłosili: Wacław Morsztynkiewicz, Wacław Wojewódzki, Walenty Michalak i Jan Posiak.

Ale socjaliści nie zrozumieli intencji N. Z. R. i poczęli drwić z narodowców. W fabrykach słyszało się tylko: „Kto? Ci huligani śmieliby stawić czoło nam, socjalistom? Oni są zdolni tylko do modlitwy i śpiewania w kościołach „Boże coś Polskę", ale do walki batami ich nie napędzi". Może mieli trochę i racji, bo jednak jeszcze wielu narodowców zostało przez nich zabitych, a narodowcy zaciskali zęby i... czekali. Wreszcie kiedyś musieli przemówić.

Znany był w dzielnicy Górnej esdek, który przybył do Łodzi z Żyrardowa. Jak się nazywał, nie wiem, ogólnie nazywano go „Rinaldo", mieszkał przy ul. Rzgowskiej 16. On zamordował naszego kolegę Muchę, on także zastrzelił członka zarządu dzielnicowego N. Z. R. Tomasza Józefiaka, majstra z fabryki Geyera. Zbrodni tej dokonał w samo południe, na ul. Zarzewskiej, gdy Józefiak szedł z fabryki do domu na obiad. We własnym mieszkaniu przy ul. Lubelskiej został również przez bojówkę socjalistyczną zamordowany dobrze zapowiadający się działacz robotniczy enzeterowski Feliks Kurek.

Nad jego grobem podczas pogrzebu przemówił Teodor Szybiłło, który zapowiedział wyczerpanie się cierpliwości i odwet. Za tę mowę aresztowano go, a policmajster łódzki Chrzanowski zarzucał mu nawoływanie ludu do zbrojnego powstania. Bo jednak w mowie swej Szybiłło powiedział kilka słów o Moskalach, zaznaczając, że mamy jednego wroga wśród własnych braci, drugiego we władzy moskiewskiej w Polsce.

Gdy po pogrzebie Kurka socjaliści znowu zabili Millerowicza, enzeterowcy rozpoczęli odwet i walki bratobójcze rozgorzały. Jak straszliwa była wzajemna nienawiść, niech świadczy fakt zabójstwa przez esdeków narodowca Perki, którego wciągnięto siłą w podwórze przy ul. Zarzewskiej 3 i dosłownie oderżnięto mu głowę od kadłuba.

Przed fabryką Ossera raniono ciężko kulami członka dzielnicy Górnej N. Z. R., Bartłomieja Słomczyńskiego. Jednym ze sprawców postrzelenia był bojowiec z grupy esdeckiej Jóźwiaka, Scheitler.

Po konferencji w sali Angielskiej i powzięciu uchwał, przerywających walki bratobójcze, zabójstwa zdarzały się nadal, ale były to już rozrachunki między likwidującymi się bojówkami i złodziejami oraz bandytami, których partje socjalistyczne tępiły, chcąc oczyścić z szumowin i mętów społecznych klasę robotniczą. Ale to już nie nasza sprawa.

Wracając do faktów naszych walk z socjalistami, trzeba zaznaczyć, że dnia 10 kwietnia 1907 socjaliści podłożyli w korytarzu domu przy ul. Dworskiej 24 maszynę piekielną, gdyż w domu tym mieszkali sami narodowcy. Tejże nocy taką samą bombę podłożono w jednym z domów przy ul. Ciemnej (wspomina o tem również kol. Brzeziński

w Nr. 1 „Kilińskiego"). Rzucono również bombę do sklepu spółdzielczego narodowców przy ul. Drewnowskiej. Narodowcy po wypadku obserwowali o świcie (bomba była rzucona w nocy), kto pierwszy przyjdzie dowiadywać się, jakie były skutki wybuchu i już o 5 rano przed domem poczęli gromadzić się różni żydkowie z socjaldemokracji, dopytując się, ilu jest zabitych i kto, ilu ranionych i t. p. Doprowadziło to do strzelaniny między nimi i narodowcami. W sklepie spółdzielczym przy ul. Aleksandrowskiej została zabita sprzedawczyni podczas napadu bojówki socjalistycznej.

W kilka dni po wybuchu tych bomb do sklepikarza Cukiermana przy ul. Aleksandrowskiej zgłosiło się kilku ludzi, którzy po jakimś ›porze o pieniądze, poczęli strzelać. Cukierman bronił się strzałam' i jednego z napastników zranił. Spólnicy napadu uprowadzili ranionego i ukryli w mieszkaniu Wiktora Gwizdki na Drewnowskiej podczas jego nieobecności. Gwizdka był enzeterowcem i po przybyciu do domu zajął się umieszczeniem ranionego w szpitalu. Zaledwie wywieziono ranionego, do mieszkania Gwizdki przybyła policja i Gwizdkę aresztowano. Stawiony był przed sąd wojenny i tylko dzięki Cukiermanowi, który zeznał, że Gwizdkę zna i nie ma on nic wspólnego z napadem, zwolniono go. Ten sam Gwizdka zeznaje, iż wiadomo mu, że napadu na Cukiermana dokonali bojowcy esdeccy. Zażądali oni potem od Cukiermana wynagrodzenia, motywując swoje żądanie tem, że działali w jego interesie, ponieważ sklepy spółkowe stanowiły dla żydów w ogólności, dla Cukiermana zaś w szczególności, konkurencję.

Socjaliści też byli inicjatorami wielkiej bitwy, jaka rozegrała się przed kościołem św. Anny w Zarzewie. Działo się to w okresie największego przelewu krwi bratniej,w styczniu 1907. Dnia tego odbywał się pogrzeb dwu zabitych prowodyrów socjalistycznych dzielnicy Górnego Rynku: Jóźwiaka i Fronczaka. Grasowali obaj bezkarnie w swej dzielnicy przez długie miesiące, zabijając co najwybitniejszych robotników narodowców. Jóźwiak i Deska kierowali bojówką, która napadała na wychodzących z fabryk po pracy enzeterowców, napadała na ich mieszkania, strzelała do drzwi i okien. Przez tę bojówkę zabici zostali enzeterowcy: Hipolit Majer, Tomasz Józefiak, fryzjer Orłowski z ul. Senatorskiej i wielu innych. Wielu także było postrzelonych.

Właśnie odbywał się pogrzeb bojowców esdeckich Jóźwiaka i Fronczaka. W godzinę przedtem odbył się taki sam pogrzeb zabitego narodowca Bolesława Korzeniowskiego. Gdy kondukt pogrzebowy zabitego przez socjalistów narodowca skierował się od kościoła św. Anny w Zarzewie na cmentarz, od ulicy Widzewskiej zbliżał się ulicą Zarzewską kondukt pogrzebowy socjalistów. Kondukt zatrzymał się przed kościołem, do którego od Zarzewskiej trzeba było przejść niezabudowany jeszcze plac na przestrzeni jakichś sto metrów.

Kilkutysięczny tłum pozostał na Zarzewskiej, a tylko jakieś 200 ludzi z trumnami podeszło do bramy kościelnej, przytem byli to przeważnie sami mężczyźni. Proboszcz, ksiądz Wyrzykowski przebywał w plebanji, wikarjusz udał się z konduktem pogrzebowym Korzeniowskiego na cmentarz. Socjaliści zażądali, ażeby ksiądz Wyrzykowski przyszedł do kościoła dla poświęcenia trumien.

Tu był początek tragedji. Ksiądz Wyrzykowski nie wyszedł z ple-

banji, polecając zakomunikować socjalistom, ażeby pogrzeb udał się wprost na cmentarz, gdzie wikary odprawi ceremonję pokropienia trumien. Tu trzeba wyjaśnić przyczynę powściągliwości proboszcza.

Ksiądz Wyrzykowski był sympatykiem N. Z. R. Po zabójstwie Jóźwiaka i Fronczaka rozeszły się pogłoski, że na pogrzebie socjaliści rozprawią się ze znienawidzonym przez nich księdzem. Trudno dziś stwierdzić, czy socjaliści istotnie zamierzali sprowokować jakieś zajście z księdzem Wyrzykowskim, czy też była to poprostu prowokacyjna plotka, ale zachowanie się socjalistów na pogrzebie przed kościołem zdawało się wskazywać, że rzeczywiście mają jakieś ukryte plany. Na czem opiera się to przypuszczenie? Choćby na oporze socjalistów, którzy zażądali kategorycznie, ażeby ksiądz Wyrzykowski wyszedł poświęcić trumny. Proboszcz mógł się istotnie obawiać jakiejś prowokacji, boć skoro mówiło się o tem w mieście od kilku dni, a teraz ta stanowczość, że żądaniu ich musi stać się zadość...

Było to tembardziej podejrzane, że przecież socjalistom tak bardzo znowu na obrządkach religijnych nigdy nie zależało, zresztą żałobnego obrządku im nie odmówiono, dla ostrożności tylko ceremonja ta miała się odbyć na cmentarzu. Ale socjaliści postanowili postawić na swojem. Nie chce ksiądz Wyrzykowski do nich wyjść, pójdą oni do niego. Około pięćdziesięciu młodych ludzi ruszyło od bramy kościelnej przez cmentarz w kierunku plebanji. Że była to bojówka, okazało się bardzo prędko.

Cmentarz kościelny odgrodzony był od plebanji niskim sztachetowym parkanem, w którym była furtka. Kościelny furtkę tę zamknął na klucz. Bojówka socjalistyczna zatrzymała się przed parkanem i zagroziła wyłamaniem go, jeśli furtka nie zostanie otwarta. Była coraz większa pewność, że socjaliści chcą sprowokować zajście.

Przed plebanją z drugiej strony parkanu stało kilku enzeterowców, którzy ze względu na krążące wersje o zamiarze zamordowania księdza Wyrzykowskiego, przybyli do plebanji. Oświadczyli oni socjalistom, żeby się cofnęli, gdyż do księdza dopuszczeni nie będą. W odpowiedzi na to socjaliści rzucili się tłumnie na parkan, który pękł z trzaskiem pod naporem kilkudziesięciu ludzi i zwalił się na ziemię. W tej samej chwili padły strzały. Kto strzelał pierwszy, niewiadomo. Ale to nie jest ważne. Ktokolwiek pierwszy użył broni, nie jest winien za to, że strzelał, bowiem wypadki, poprzedzające strzelaninę, były wynikiem agresywności bojówki socjalistycznej. Może pierwsi użyli broni narodowcy, nie chcąc dopuścić bojówki socjalistycznej do księdza, może socjaliści, którzy chcieli steroryzować stojących przed plebanją narodowców. Ale bez względu na to, kto strzelił pierwszy, wina leży po stronie socjalistów, którzy i tu, jak zresztą wszędzie, byli stroną atakującą. Przyznaję, że byłem w owych czasach fanatykiem patrjotyzmu — choć na wiecach i na zebraniach partyjnych stawiałem zawsze wszystkie sprawy lewicowo i radykalnie i do socjalistów, zwłaszcza do pepesowców, ze względu na wysuwanie przez niektórych ich mówców hasła niepodległości, odnosiłem się raczej z rezerwą, niż z nienawiścią i możnaby mnie pomówić o tendencyjność w przedstawianiu faktów, to jednak staram się być dzisiaj jaknajbardziej objektywny, tembardziej że od owych czasów mija trzydzieści lat i nie mam potrzeby liczyć się ze

względami politycznemi, których dzisiaj w odnoszeniu się do N. Z. R. niema. Niema z tej prostej przyczyny, że niema N. Z. R.

Po strzałach bojówka socjalistyczna rozsypała się po podwórzu plebanji, enzeterowcy ukryli się w plebanji i zamknęli za sobą drzwi, z wyjątkiem trzech czy czterech, którzy, czy to dlatego, że nie zdążyli dostać się do sieni przed zamknięciem drzwi, czy raczej dlatego, że znajdowali się u wylotu drugiej furtki, prowadzącej od plebanji w pole i mieli odwrót zamknięty przez socjalistów — stoczyli krwawą walkę z liczną bojówką socjalistyczną. Podwórze zasłane było zabitymi i rannymi.

Socjaliści strzelali do plebanji, enzeterowcy odpowiadali ogniem z plebanji przez okna z parteru i przez otwory ze strychu. Socjaliści znajdowali się na otwartem polu, enzeterowcy byli ukryci w murach plebanji i dlatego bitwa ta, a raczej oblężenie plebanji przyniosło tak wiele ofiar stronie oblegającej. Walka trwała blisko pół godziny i przyniosła straszliwy plon — ośmiu zabitych i około 60 rannych. Narodowcy mieli, zdaje się, trzech ranionych, reszta ofiar padła po stronie socjalistycznej.

Nie wszyscy zabici i ranni padli od kul narodowców. Jak już zaznaczyłem, część bojowców socjalistycznych wdarła się na podwórze plebanji. Po strzałach ze strony narodowców olbrzymia większość zawróciła i poczęła uciekać przez plac przed kościołem w kierunku tłumu pogrzebowego. W tłumie tym znajdowało się jeszcze dużo uzbrojonych socjalistów, którzy z odległości, jak powiedziano wyżej około stu metrów, nie mogli dostatecznie orjentować się w tem, co działo się przy plebanji i w przypuszczeniu, że to uciekają narodowcy wskutek ataku socjalistów, powitali uciekających ogniem. Zanim zorjentowano się w pomyłce, na placu legło wielu zabitych i ranionych. Wszystkie te ofiary zaliczone zostały potem na rachunek narodowców. Niesłusznie. O tej straszliwej pomyłce socjaliści dobrze wiedzieli i mówi o tem ówczesna nielegalna prasa enzeterowska.

Podczas tej bitwy policja rosyjska nie interwenjowała. Widocznie było to władzy rosyjskiej na rękę. Dopiero po odstąpieniu socjalistów od oblężenia plebanji i po przybyciu karetek pogotowia i odwożeniu ranionych do domów i szpitali, zjawiło się wojsko. Nie miało ono już jednak nic do roboty.

Wogóle jeśli chodzi o stosunek władz do walk bratobójczych, to policja i żandarmerja nie kwapiły się zbytnio w przeszkadzaniu we wzajemnem mordowaniu się socjalistów z narodowcami, oba bowiem kierunki polityczne musiały być traktowane wrogo i z punktu widzenia taktyki politycznej carskiej władzy, wzajemne wytępianie się wrogów tej władzy mogło być tylko korzystne. Potwierdzenie takiego stanowiska władz znajdujemy w represjach, jakie rozgorzały w stosunku do obu robotniczych obozów po ukończeniu walk bratobójczych w drugiej połowie 1907 r.

Gdy zebrali się przedstawiciele fabryk w sali Angielskiej i powzięli uchwały do zaprzestania walk, które też rzeczywiście potem ustały, władze carskie w Łodzi przystąpiły do straszliwych represyj, prześladując zarówno socjalistów, jak i narodowców. Z socjalistami obu partyj było to o tyle łatwiejsze, że kilkudziesięciu znanych na bruku

łódzkim socjalistów, zwłaszcza esdeków, i to spośród bojowców, dostawszy się do więzienia, ulegli namowom ochranników i żandarmerji i przeszli do ochrany, zdradzając całkiem jawnie swoich dawnych towarzyszy. Dużą rolę, oprócz przyobiecanej wolności za zdradę, odgrywały tutaj także ruble, które miały dla zdrajców o tyle większą wartość, że byli to robotnicy, którzy tych rubli tak znowu wiele nie zarabiali w fabrykach i dlatego nawet bardzo niskie wynagrodzenie za zdradę, stanowiło dla zdrajców doskonały zarobek. Dochodziło nawet do konkurencji, bo kiedy bojowiec esdecki Fremel, który oprócz przystąpienia do usług w ochranie był katem i swych dawnych towarzyszy własnoręcznie wieszał na dziedzińcu łódzkiego więzienia przy ul Długiej 13, to inny socjalista bojowiec, potem prowokator i bandyta Aleksander Włoszczyński, który miał na swoim sumieniu około 20 zamordowanych, zgłosił ofertę wieszania rewolucjonistów po niższej cenie od głowy.

Gdyby nie zdrady, które przybrały w Łodzi charakter masowy, władze carskie nie miałyby możności tak gruntownie zniszczyć ruchu robotniczego po upadku rewolucji. Jako przykład gorliwości zdrajców, gdy chodziło o przysłużenie się ochranie, niech świadczy wielka ilość zdradzonych byłych swoich towarzyszy przez prowokatorów, że wspomnimy tu choćby takiego Józefa Kołduńskiego, który wsypał około 100 członków P. P. S. Wina takiego stanu rzeczy, jeśli chodzi o stronę moralną, leży po części w samem założeniu partyj socjalistycznych, które nie tylko bagatelizowały wszelki czynnik duchowy robotników, ale starały się ten czynnik zwalczać, dowodząc zawsze, czy to w odezwach i swoich organach partyjnych, czy też na wiecach, że ojczyzną dla robotnika jest każdy zakątek na świecie, gdzie pracuje i zarabia. Cały światopogląd socjalistyczny opierał się wyłącznie na sprawach żołądka i wygód życiowych i hasła przyszłego szczęścia robotniczego zamykały się w ramach interesów materjalnych. Cóż więc dziwnego, że tak wielu robotników, którzy łudząc się rychłem urzeczywistnieniem się tego szczęścia przez swoją pracę w partjach socjalistycznych, z taką łatwością od tych obiecanek się odsunęło, gdy przyszli do przekonania, że szczęście to było jeno złudzeniem i przerzucili się do firmy konkurencyjnej, jaką była władza, która traktowała sprawę również bardzo materjalistycznie i płaciła za usługi brzęczącą monetą. Gdzie rubel, tam ojczyzna...

Przywódcy socjalistyczni, między którymi przecież byli ludzie ideowi i wartościowi, usiłowali umoralnić potem partję (P. P. S.) i przystąpili do reorganizacji. Ale zło było tak wielkie, że o żadnej reorganizacji mowy być nie mogło i nie pozostało nic innego, jak tylko rozwiązanie całego łódzkiego pepeesu i przystąpienie do ponownego tworzenia partji od podstaw. Bandytyzm rozwielmożnił się tak bardzo, że odezwa Centralnego Komitetu Polskiej Partji Socjalistycznej, traktująca o rozwiązaniu łódzkiej organizacji, mówiła wręcz, że trudno odróżnić bandytę od socjalisty.

Praca organizacyjna w Żyrardowie — Socjalistyczna rewizja w kościele — Zgromadzenia w lasach — W więzieniu grodziskiem.

Do organizacji wstąpiłam w 1905, kiedy to masowo ludzie garnęli się do partyj politycznych, — wszystkich ogarnęła psychoza walki o lepsze jutro i wolność dla kraju. Pracowałam w tkalni wielkiej fabryki żyrardowskiej, gdzie w tym czasie, jak zresztą we wszystkich fabrykach całego ówczesnego Królestwa Polskiego, między zwolennikami dwu kierunków politycznych — socjalistami i narodowcami — trwały zażarte, niekiedy krwawe walki.

Bardzo czynny udział brało wówczas w pracy narodowej i duchowieństwo, chociaż słyszało się tu i ówdzie, że niektórzy księża odnosili się, nietylko obojętnie do wszelkiego ruchu społecznego, ale nawet wrogo. Miałam szczęście znać tylko takich księży, którzy byli czynni w ruchu społecznym i politycznym, i dlatego może odnosiłam się do wszystkich wiadomości o wrogiem stanowisku tych lub innych duchownych do poczynań organizacyjnych społeczeństwa, z niedowierzaniem. Tak jednak być musiało, skoro się o tem mówiło i pisało.

W Żyrardowie był wtedy proboszczem ks. Żaboklicki, który nietylko pozwalał na urządzanie zebrań na cmentarzu kościelnym, ale sam niekiedy na tych zebraniach przemawiał, nawołując zgromadzonych do pracy oświatowej i organizacyjnej. Socjalistom się ta współpraca duchowieństwa z ludem nie podobała, woleliby zapewne, ażeby duchowieństwo wogóle odseparować od roboty politycznej i społecznej, bo, ich zdaniem, ksiądz ludzi ogłupiał, tak jakby ten lud nie dość był wówczas głupi i bez księdza, skoro szedł na lep międzynarodówki i wierzył, że lada dzień stary porządek się wywróci, fabrykanci będą wyrżnięci, a fabryki zostaną własnością robotników. Jak widzimy, nie takie to było łatwe, skoro jeszcze dzisiaj na zebraniach mówi się to samo i tak samo nawołuje się do walki o te same cele.

Któregoś dnia na cmentarzu, koło kościoła w Żyrardowie odbywało się większe zgromadzenie, które socjaliści postanowili rozgromić. Wtargnęli w większej gromadzie na cmentarz, bijąc zgromadzonych. Na cmentarzu zmieścili się nie wszyscy, niektórzy zostali za parkanem cmentarnym i stamtąd strzelali z rewolwerów. Nie wiem, czy padły strzały także i ze strony zaatakowanych, ale być może padły, bowiem socjaliści przypuścili szturm do kościoła, postanawiając dokonać tam rewizji w poszukiwaniu broni. Może to było tylko nieporozumienie,

może naprawdę ktoś dla obrony strzelał i w kierunku atakujących, co nie jest wykluczone — sama znajdowałam się w tłumie kobiet na cmentarzu i z mojego najbliższego otoczenia nikt nie strzelał — dość, że socjaliści nie chcieli od zamiaru dokonania rewizji w kościele odstąpić.

Mimo dość mocnej obrony z naszej strony, socjaliści zdołali dotrzeć do księdza Żaboklickiego i pod groźbą rewolwerów zmusili go do pójścia z nimi do kościoła. Dokonali poszukiwań w całym kościele, splondrowali wszystkie szafy w zakrystji, lecz żadnej broni nie znaleźli, gdyż jej tam nie było. Na czele tej wyprawy stał socjalista, którego wszyscy nazywali towarzyszem Leliwą, który, jak się potem okazało, był szpiclem i wielu swoich towarzyszy wsypał. Nie wiem, czy Leliwa już wtenczas wysługiwał się ochranie, coby świadczyło, że cała ta akcja była prowokacją ze strony władz moskiewskich, czy też nie był jeszcze szpiclem, a wtedy dowodziłoby to, że „uświadomionymi“ towarzyszami można było kierować, jak się pierwszemu lepszemu agitatorowi podobało. Zajście to rozegrało się w lutym 1905.



Michalina Klimkiewiczówna

Innym razem odbył się wiec w rynku. Wiec zorganizowwał Leliwa. który też na tym wiecu przemawiał jako przedstawiciel partji socjalistycznej. Gdy Leliwa kończył przemówienie, nadjechało wojsko, na którego widok tłum rzucił się do ucieczki. Wojsko resztki uciekającego tłumu rozpędziło, a Leliwa gdzieś znikł i od tej pory nie słyszałam o nim w Żyrardowie. Kto krył się pod przezwiskiem Leliwy, nie dowiedziałam się nigdy.

Do N. Z. R. wprowadziły mnie Zglińska i Marczakówna. W bardzo krótkim czasie zostałam dziesiętniczką, potem setniczką i sczasem weszłam do miejscowego zarządu, którego członkami w tym czasie byli: Łysanowski, Zgliński, Górny, Jasiński, Stefan Kamiński i Ludwik Zaborowski. Kierownikiem partji był Nell, bardzo zdolny, bardzo czynny i energiczny działacz narodowy robotniczy. Dużo pracy włożył także w robotę enzeterowską żyrardowską członek Zarz. Gł. Jan Karol Szcze-

blewski (Snopek), który dojeżdżał do Żyrardowa na zebrania. W późniejszych latach miejsce Nella jako kierownika partji w naszem mieście objął Feliks Dzikiewicz (Chłop).

Broń, dostarczaną do Żyrardowa dla partji, transportowałam kilka razy od Nella do Ludwika Zglińskiego, który krył ją znowu gdzieindziej, w miejscu jemu tylko wiadomem.

Podczas najbardziej intensywnej pracy organizacyjnej w okolicznych lasach miedniewickich, żyrardowskich i radziwiłowskich odbywały się potajemne zgromadzenia, dochodzące do 1000 ludzi i więcej. Jeden taki wiec w lesie miedniewickim ktoś musiał wsypać, bo policja i wojsko pojechało do Miedniewic szukać zgromadzonych. Zdrajcą był jednak ktoś mało wtajemniczony, gdyż policja wiedziała tylko o tem, że w lesie ma być wiec, ale nie wiedziała dobrze, w którem miejscu. To też z różnych stron do lasu wjechały patrole wojskowe i policyjne i zaczepiały każdego spotkanego w lesie, dopytując się, gdzie zebrali się buntowszczyki. Ale rozstawione czaty partyjne po lesie rychło doniosły o zbliżającem się niebezpieczeństwie i wszyscy się po lesie rozeszli w różne strony. Wracałam akurat z zebrania z koleżanką Mirgosówną i jednym z kolegów, gdy natknęliśmy się na patrol. Na zapytanie, co robimy w lesie, odparliśmy, że zbieramy grzyby i kilka zebranych po drodze grzybów pokazaliśmy na dowód, iż mówimy prawdę. Moskale byli łatwowierni i uwierzyli, puszczając nas wolno.

Ale gorzej powiodło się koledze Wrońskiemu, którego patrol ujął na czatach w Sokolu. Przywiązali go do konia i, bijąc batami, zmuszali do wskazania miejsca, gdzie odbywało się zgromadzenie. Wroński zniósł cierpienia mężnie i słowa nie pisnął. Wówczas kozacy dojechali do Miedniewic, do urzędu gminnego, gdzie wójtem był Bilakowski. Zażądali podwód, lecz wójt, członek naszej organizacji, ażeby zmylić czujność Moskali, polecił szykować podwody i wysłał chłopaka na koniu, niby do wsi do chłopów po podwody, a właściwie do wiecowników, dokąd chłopak pojechał galopem w celu ostrzeżenia zebranych o grożącem niebezpieczeństwie. W tym czasie też i czaty partyjne już dały znać o niebezpieczeństwie. Gdy kozacy i podwody ze strażnikami przyjechały na miejsce, gdzie był wiec, nie było tam już nikogo. Wiec ten organizowany był przez Nella, Zglińskiego, Łysanowskiego i Kubaszewskiego.

Drugi taki wiec, mniej więcej w tym samym okresie urządzony był w lesie żyrardowskim, i ten wiec udał się znakomicie. Przemawiali Nell i Szczeblewski (Snopek) z Warszawy.

Po wiecu miedniewickim jednak nastąpiły aresztowania. Aresztowani wówczas zostali Zgliński, Lewandowski, Uliczkowski, Roszowski,

Łysanowski i inni, razem 18 ludzi. Mimo to robota nie ustała. W tych czasach na czoło jako kierownik organizacji wysunął się Dzikiewicz. W tym okresie bardzo często jezdziłam do Warszawy po bibułę, którą otrzymywałam od Markuszewskiej przy ul. Wareckiej 14.

Proboszczem w Żyrardowie był później ks. Bliziński, który zasłynął z pracy społecznej w Liskowie pod Kaliszem. Ksiądz Bliziński zorganizował misje katolickie dla młodzieży, co również nie podobało się socjalistom i przeciwko tym misjom występowali. W zgromadzoną przed kościołem na cmentarzu młodzież socjaliści rzucali kamieniami i wtedy jedna z naszych koleżanek, Marja Knyszewska została zraniona w głowę. Było to w 1906. Między atakującymi zebraną młodzież socjalistami i księdzem Blizińskim rozegrała się nawet walka na pięści, bowiem ksiądz, najbliżej stojącego socjalistę chwycił za orzydle. Jak się potem okazało był to żyd, co wywołało wielkie wzburzenie wśród młodzieży polskiej.

Pewnego razu nasz kolega Gołgowski miał polecenie zanieść któremuś z naszych działaczów regulamin organizacyjny, świeżo opracowany przez zarząd żyrardowski. W alei Dietrycha natrafił na patrol wojskowy i został zaczepiony. Dokonano przy nim rewizji, jednak niczego nie znaleźli, a regulamin Gołgowski miał ukryty w czapce. Nie wiem z jakiej przyczyny, ale żołdacy tak zbili kolbami Gołgowskiego, że zbroczony krwią zemdlał i tak został na ulicy. Wojsko odeszło, nie troszcząc się o zmasakrowanego młodego człowieka. Po odejściu żołdaków koledzy zanieśli nieprzytomnego Gołgowskiego do domu, gdzie pielęgnowały go i leczyły przez kilka tygodni siostry.

Już w 1910 trafili Moskale i do mnie. Zostałam aresztowana. Dokładnej daty aresztowania nie pamiętam. Zamknięto mnie w więzieniu w Grodzisku, gdzie siedziałam w jednej celi z koleżanką Leokadją Kubisiewiczówną.

W więzieniu próbowano nas różnemi sposobami, i podstępem i groźbą zmusić do przyznania się do należenia do N. Z. R., ale się Moskalom nie udało. Próbował nawet z nami rozmawiać, niby inny więzień, ale jak się potem okazało, szpicel, lecz i on nic nie wskórał. Pamiętałyśmy o wykładach kolegi Szczeblewskiego, który uczył nas, jak się zachować w razie wsypy. Podczas badań udawałam trochę pomyloną, nienormalną i szpicle oraz żandarmi nie mogli się ze mną dogadać. Powiedziano mi, że wiedzą, iż należę do N .Z. R., chodziło tylko o przyznanie się do tego. Nic z tego nie wyszło.

Po kilku miesiącach, nie mogąc mi dowieść winy, władze moskiewskie zwolniły mnie z więzienia.

NIE ŻYJĄ



Dnia 12 marca r. b. zmarł w Warszawie ś. p. Franciszek Mieczysław Szczeblewski, sekretarz Zarz. Gł. Stow. Od najmłodszych lat pracował w szeregach narodowego ruchu robotniczego. Mając zaledwie lat 17 już chodził na zebrania robotnicze szerząc ideę niepodległości Polski. Był działaczem N. Z. R. na gruncie warszawskim. Prześladowany przez władze moskiewskie, po kilkumiesięcznym pobycie w więzieniu, po zwolnieniu, w obawie ponownego aresztowania zbiegł zagranicę, przebywając jakiś czas na emigracji w dawnej Galicji. Po powrocie do kraju pracował w zawodowym ruchu robotniczym. Był jednym z założycieli naszego Stowarzyszenia i od początku jego istnienia do ostatnich chwil swego życia sekretarzem Zarz. Gł. Na pogrzeb jego przybyły delegacje ze sztandarami i wieńcami z oddziałów: radomskiego, kieleckiego, siedleckiego, łódzkiego, pabjanickiego, żyrardowskiego i warszawskiego oraz wielu dawnych działaczów N. Z. R. Odznaczony był Krzyżem Niepodległości i Srebrnym Medalem Zasługi.



W Lublinie zmarł ś. p. Stefan Wilkoszewski człon. Stowarzyszenia. Już jako student Politechniki Warszawskiej Wilkoszewski brał czynny udział w akcji bojkotowej szkoły rosyjskiej i w szerzeniu oświaty w kółkach robotniczych. Był członkiem zw. im. Jana Kilińskiego i N. Z. R. Na emigracji w Szwajcarji należał do Polskiej Drużyny Strzeleckiej w Genewie i był jednym z organizatorów tej Drużyny.

W Tomaszowie Mazowieckim zmarł w grudniu r. ub. ś. p. Józef Midera, członek zarządu miejscowego oddziału Stowarzyszenia. Ś. p. Józef Midera należał do N. Z. R. przez cały czas jego istnienia. Był tkaczem kształcąc się sam i zdobył duże wyrobienie społeczne, osiągając w N. Z. R. stanowisko setnika i członka miejscowego zarządu.



KRONIKA

ODDZIAŁ W ŁODZI

Dnia 15 marca r. b. w sali im. Moniuszki przy ul. Ogrodowej 34 w Łodzi odbyło się walne zgromadzenie członków oddziału łódzkiego. Przewodniczył kol. Ludwik Kazimierski z Ozorkowa. Zarząd zdał sprawozdanie ze swej działalności za kwartał pierwszy r. b., poczem kol. Jatczyk z Warszawy wygłosił odczyt p. n. „Wczoraj i dziś narodowego ruchu robotniczego".

ODDZIAŁ W WARSZAWIE

Dnia 8 marca r. b. w lokalu własnym (Nalewki 8) odbyło się Walne Zebranie roczne Stow. z porządkiem dziennym: zagajenie, wybór przewodniczącego, odczytanie prot. z poprzedniego zebrania, sprawozdanie kasowe, sekretarjatu i Komisji Rewizyjnej, wybory zarządu i Kom. Rew. i wolne wnioski. Obrady prowadził kol. Stefan Rożnowski, sekretarzowała kol. Konopska, do prezydjum ponadto wchodzili: k.k. J. Borowska i Andrzej Krawczyński. Ze sprawozdania sekretarjatu wynika, że w okresie kadencji ustępującego zarządu przybyło członków 50; ogólna liczba członków wynosi 201. Posiedzeń protokularnych zarzad odbył 62, nieprotok. 95. Zapomóg udzielono 79 członkom na sumę 1026 zł. 50 gr. zapomóg pośmiertnych wydano 2 na sumę 80 zł. Do zarządu zostali wybrani koledzy: Jan Tołwiński — prezes, Karol Lange — wiceprezes, Juljan Giernatowski — sekretarz, Franciszek Konopacki i Alfred Lipecki — członkowie. Na zastępców: Bartłomiej Słomczyński, Feliksa Konopska i Stefan Szrajer.

ODDZIAŁ W SIEDLCACH

Dnia 16 lutego r. b. w lokalu Tow. Rzem. w Siedlcach odbyło się walne zebranie Stow. tutejszego oddziału. Porządek dzienny: zagajenie, wybór prezydjum, sprawozdanie zarządu, sprawozdanie komisji rewizyjnej i wolne wnioski. Zebraniu przewodniczył kol. Szczygielski, sekretarzował kol. Rozwens. Omówiono i zołatwiono wiele spraw stowarzyszeniowych.

ODDZIAŁ W PABJANICACH

Dnia 5 kwietnia r. b. odbyło się w Pabjanicach Walne Zebranie członków Stow. miejscowego oddziału. Przewodniczył kol. Witold Eichler, sekretarzował kol. Skowroński, do prezydjum pozatem wchodzili k.k. Brzeziński, Portych i Grałka. Sprawozdanie z działalności zarządu oddziału zostało przez zebranych przyjęte bez dyskusji. Jak widać ze sprawozdania, oddział posiada 256 członków. Po omówieniu wielu spraw organizacyjnych, odbyły się wybory członków Sądu Koleżeńskiego, do którego wybrano k.k. Zygmunta Mikutę, Karola Gertnera i Bolesława Janickiego. Na zakończenie zebrania uchwalono urządzać każdego miesiąca zebrania dyskusyjne.

Dnia 18 marca k. Feliksa Konopska wygłosiła odczyt p. n. „Powstanie i działalność Polskich Związków Zawodowych". Dalszy ciąg tegoż odczytu został wygłoszony przez k. Konopską dnia 1 kwietnia.

ODDZIAŁ W TOMASZOWIE MAZOWIECKIM

26 kwietnia r. b. w lokalu własnym odbyło się Walne roczne Zebranie członków Oddziału w Tomaszowie Mazowieckim. Przewodniczył kol. Sulman. Po omówieniu i załatwieniu wszelkich spraw organizacynjych odbyły się wybory zarządu. Wybrani zostali dotych czasowi członkowie zarządu w osobach k.k. Fajfra jako prezesa, Głowy, Sulmana, Widerowskiego i na miejsce zmarłego k. Midery k. Rudzińskiego. Na zakończenie zebrania k. Jatczyk, jako delegat Zarz. Gł. wygłosił odczyt na temat zadań Stowarzyszenia.

ODDZIAŁ W ŻYRARDOWIE

W lokalu własnym przy ul. Mireckiego 5 w Żyrardowie odbyło się dnia 21 czerwca r. b. Walne roczne zebranie członków miejscowego oddziału. Przewodniczył prezes k. Myszkowski. Po zdaniu sprawozdania z działalności Zarz. Oddziału i omówieniu spraw stowarzyszeniowych, k. Jatczyk z Warszawy wygłosił referat o zadaniach Stowarzyszenia.

POMNIK JANA KILIŃSKIEGO

Dnia 19 kwietnia r. b. odbyła się w Warszawie uroczystość odsłonięcia pomnika Jana Kilińskiego. W uroczystości tej wzięło udział również i nasze Stow. z 9 sztandarami, z których 7 było starych sztandarów N. Z. R. Na uroczystość przybyły delegacje ze sztandarami z Kielc, Radomia, Pabjanic, Łodzi, Tomaszowa Maz., Siedlec i Żyrardowa. Sztandary N. Z. R. zwracały powszechną uwagę władz i publiczności.

Piszcie, jak kto umie, swoje pamiętniki enzeterowskie przysyłajcie do redakcji „Kilińskiego".

Nowa lista członków

W Nr. jubileuszowym „Kilińskiego" wydanym w ub. r. z okazji 30-lecia powstania N. Z. K. podaliśmy listę członków Stowarzyszenia. Poniżej zamieszczamy nazwiska tych wszystkich kolegów i koleżanek, którzy zostali przyjęci do Stow. w późniejszym terminie.

DO ODDZIAŁU W WARSZAWIE

Białek Ludwik, Dmoch Władysław, Kalota Franciszek, Komorowski Hilary, Klimkiewicz Michalina, Lewoski Józef, Laskowski Stanisław, Łypaczewski Jan, Michalski Piotr, Michalczyk Ignacy, Niemyski Wacław, Ochociński Jan, Skrzyński Antoni, Wilkoszewski Stefan, Wolski Antoni Henryk, Żurek Jan.

DO ODDZIAŁU W ŁODZI

Błaszczyńska Pelagja, Bartosik Wawrzyniec, Boruta Antoni, Ciepłowski Ignacy, Cieplucha Roman, Dąbrowski Leonard, Domoradzki Bolesław, Dąbrowski Seweryn, Dziamarski Józef, Daszkowski Józef, Fibich Władysław, Górski Stanisław, Górski Idzi, Gralak Jan, Gardychowski Józef, Gotwald Antoni Jan, Górski Jan, Gradowski Józef, Holwek Franciszek, Holwek Jan, Hałoda Bolesław, Iwiński Józef, Juszczak Franciszek, Jabłońska-Szymańska Marja, Jakubiec Grzegorz, Jaranowski Józef, Janiak Franciszek, Kostowski Władysław, Kubera Wincenty, Kaszyński Marcin, Kurek Franciszek, Krupski Franciszek, Kawczyński Władysław, Kuźnik Stanisław, Lewańczyk Stanisław, Łazurow Bronisław, Milczarek Stanisław, Matusiak Antoni, Michałowicz Jan, Musiałowski Józef, Majewski Leon, Michałkiewicz Antoni, Mlonka Franciszek, Młotecki Józef, Nowowiejska-Skrzypińska Marja, Owczarek Paweł, Olbrych Stanisław, Ogórkiewicz Józef, Osieński Bolesław, Pełka Józef, Pawlak Marcin, Pfejfer Seweryn, Paszkowski Jakób, Plac Aleksander, Poliński Michał, Powązka Kazimierz, Piekarski Maciej, Pingot Andrzej, Pawlak Wojciech, Płaczkowski Władysław, Rossowski Józef, Sobczak Walenty, Starnowski Antoni, Sierań Stanisław, Szuberski Bolesław, Suchy Zygmunt, Sobczak vel Sobczyński Antoni, Starczewski Józef, Śródka Wacław, Sochacki Jan, Sarnowski Kazimierz, Szymczak Kazimierz, Szwech Marjan, Sowiński Ignacy, Sałata Szczepan, Wrzesiński Feliks, Walerowicz Franciszek, Wasiak Wojciech, Walczak Wojciech, Wojciechowski Stanisław, Wasiak Józef, Woźniak Andrzej, Wadowski Roch, Wałęski Wojciech, Walczak Józef, Wypych Stanisław, Wojna Wojciech, Wolniewski Bronisław, Zawadzki Stefan, Zajączkowski Józef, Zawadzki Kazimierz, Zasada Antoni, Żuraw Mikołaj.

DO ODDZIAŁU W PABJANICACH

Bolonek Sylwester, Bochen Walenty, Baczmaga Władysław, Brzozowski Władysław, Czerwiak Wincenty, Duraj Jan, Grabarczyk Władysław, Grzelikowska Władysława, Gertner Marcin, Gertnerowa Marja, Grałka Kazimierz, Jarawski Antoni, Jęch Marcin, Jarkowski Jan, Karolczak Jan, Kobza Adam, Kamiński Jan, Kunka Leon, Krzykowski Tomasz, Lewicki Wojciech, Łyszkowski Franciszek, Mazurek Marcin, Mąkowski Jan, Matuszkiewiczowa Anna, Maciejewski Stanisław, Mikuła Zygmunt, Malinowski Franciszek, Nowicki Antoni, Pabich Leon, Piotrowski Władysław, Piotrowski Antoni, Piskorski Feliks, Pelikan Józef, Rybiński Antoni, Rykalska Helena, Śliwińska Józefa, Sztolc Edmund, Skotnicki Stanisław, Tokarczyk Piotr, Tafliński Ignacy, Zaborowski Stanisław.

DO ODDZIAŁU W OZORKOWIE

Andrzejczak Kazimierz, Brodowicz Bolesław, Kadziłowska Juljanna, Małecki Jan Sylwester.

DO ODDZIAŁU W ZGIERZU

Frontczak Michał, Gust Franciszek, Kuźmiński Maksymiljan.

DO ODDZIAŁU W ZDUŃSKIEJ WOLI

Adamiak Marceli, Dębowski Michał, Duszkiewicz Franciszek, Frontczak Józef, Fiks Jakób, Gonerski Józef, Jarosławski Wojciech, Kaczmarek Jakób, Kaspruś Lózef, Lizak Stanisław, Łakomy Piotr, Rokossowski Kazimierz.

DO ODDZIAŁU W ŻYRARDOWIE

Ekielski Antoni, Gryka Zofja, Gębski Antoni, Marcinowski Antoni, Solecki Gabrjel.

DO ODDZIAŁU W RADOMIU

Balcer Edward, Gaździńska Aniela, Krzemiński Józef, Kata Jan.

DO ODDZIAŁU W KIELCACH

Jaworski Kazimierz, Kańska Anna, Sztechman Józef, Szczudłowska Elżbieta.

DO ODDZIAŁU W SIEDLCACH

Kosieradzki Władysław.

DO ODDZIAŁU W SOSNOWCU

Bąk Roman, Baranowski Stanisław, Barysz Karol, Czupryna Stefan, Chaładus Adam, Kwiatkowski Józef, Kucharski Józef, Kostur Andrzej, Leśniewski Mieczysław, Michalski Wojciech, Nowak Karol, Piecuch Wawrzyniec, Wolny Michał, Wendrychowski Edmund, Walocha Józef Wacław, Zgoła Michał, Zientara Jan.

ZAMIESZKALI W RÓŻNYCH MIEJSCOWOŚCIACH

Bielicki Józef — Chełm Lub., Kurkowski Aleksander — Otwock, Kwiatkowski Leon— Brześć n/B., Kotkowski Józef — Janów k. Mińska Mazow., Liszkowski Bolesław — Lublin.

OFIARY NA SZTANDAR

Oddział Warszawski Stow. pragnie ufundować własny Sztandar, w tym celu sekretarjat Oddziału zbiera ofiary, które przyjmuje sekretarz. kol. Giernatowski. Dotychczas złożyli:

Stanisław Głodkiewicz 1 zł., Karol Lange 1 zł., Andrzej Krawczyński 5 zł., Antoni Wolski 5 zł., Franciszka Franelli 8 zł., Marjanna Mierzejewska 2 zł. 50 gr., Karolina Zwolińska 1 zł. 10 gr., Agnieszka Ginterowa 1 zł., Antoni Piegot 1 zł., Nowakowski (nieczł.) 1 zł., Władysław Zakrzewski 2 zł., Walenty Flaszyński 3 zł., Feliks Stankowski 1 zł., Jan Kakitek 1 zł., Tomasz Baltaziuk 1 zł., Michalina Klimkiewicz 50 gr., Bartłomiej Słomczyński 1 zł., Wacław Strzelecki 1 zł., Marja Szlezinger 2 zł., Jan Kostecki 1 zł., Aleksander Wawrzyniak 1 zł., Stanisława Tabęcka 1 zł., Felicja Gosińska 1 zł., Aleksandra Witkowska 5 zł., Helena Bielska 50 gr. Felicja Konopska 1 zł., Apolonja Korszun 50 gr., Mieczysław Bartnicki 1 zł., Tadeusz Markowski 5 zł., Bezimiennie 1 zł., Ludwik Piętka 5 zł.

JEDNAJCIE CZŁONKÓW DLA STOWARZYSZENIA

Aktualne rozmowy z kolegami

Kol. Piotrowi Michalskiemu. Wasze rozważania filozoficzne przeczytaliśmy kilkakrotnie, są one bowiem tak zawiłe, że trzeba ciągle wracać do poprzednich myśli, ażeby coś niecoś uchwycić i powiązać w logiczną całość. Z całego serca radzimy Wam, kolego, nie wgłębiajcie się aż w tajemnice kosmosu, żeby tam szukać rozwiązania spraw przyziemnych. Treść Waszego pisma zawiera tak wielką objętość różnych zagadnień, żeśmy się w myślach pogubili, zwłaszcza, że w konsekwencji prowadzicie do wniosku: „garść ludzi, która pracowała dla Polski, poświęcając swe życie, powinna być dziś jako tako zaopatrzona, żeby chociaż głodu nie cierpiała". Zgadzamy się z tem w zupełności, ale nie potrzeba tego uzasadniać aż prawami kosmosu.

Kilku kolegom z Warszawy.. Nie trzeba się przejmować każdem plugastwem świstków gazetowych, na które poważna prasa nie zwraca absolutnie żadnej uwagi. Do takich bezwartościowych świstków należy i wspomniana przez Was pięciogroszówka, która prowadzona jest przez ludzi bezideowych, przez ludzi, których ideą jest tylko pieniądz, i to pieniądz wszelaki, bez względu z jakiego pochodzi źródła. Pisemko to przecież opiera swoją egzystencję na najniższych instynktach mas i redaktorem jego jest żyd, od którego trudno wymagać znajomości historji naszego ruchu. Z takiem pismem nie możemy ani się liczyć, ani też polemizować, choćby redaktorzy jego wypisywali najokropniejsze herezje, głupstwa i oszczerstwa. Czy możecie zabronić psu szczekać, albo czy będziecie usiłowali przekonać go ludzkiem słowem, żeby stulił ogon pod siebie i zamilkł. Aniby to Wam do głowy przyszło. Zostawcie psu jego szczekanie i przechodźcie nad nim do porządku. Jeśli ktoś wogóle szuka tylko gnojówki, to znajdzie ją w najpiękniejszym ogrodzie. Mówicie, że ludzie to czytają i przez to fałszuje się im prawdę historyczną. Gdybyśmy chcieli walczyć z fałszerzami opinji publicznej, musielibyśmy codziennie rozpalać na wielkich placach ogniska i w morzu płomieni topić fury gazet. Niestety, niewiele jest pism, uczciwie służących społeczeństwu, ale na to my nic nie poradzimy. Poprostu nie brać do ręki brudów i na tem koniec.

Kol. Ludomirowi Tomaszewskiemu. Sądzimy, że nie chodzi Wam o samo znaczenie pojęcia „narodowy", jak bowiem wynika z treści Waszego listu, zdajecie sobie doskonale z tego sprawę, chodzi Wam tylko o samo stosowanie tego określenia przez różnych ludzi w sporach politycznych i nadużywanie go dla swoich celów partyjnych. Piszecie dalej, że jeśli narodowy ruch robotniczy ma w przyszłości stać się znowu potęgą w życiu polskiej klasy robotniczej, jak było ongiś, gdy N. Z. R. znajdował się w stanie swego roz-

kwitu, to czy nie należałoby pomyśleć o współpracy z wszystkiemi istniejącemi dziś organizacjami narodowemi. Bardzo to pięknie, ale nie myślicie chyba o naszem Stowarzyszeniu, które jest organizacją apolityczną, co nie przeszkadza oczywiście poszczególnym naszym kolegom pracować w tej czy innej partji politycznej. Teoretycznie rzecz biorąc, winniśmy wszyscy razem i każdy z osobna dążyć stale do koordynacji sił robotników, stojących na gruncie narodowym, i będziemy radzi, gdy taka koordynacja nastąpi, niemniej musimy dobrze patrzeć na tych, którzy określenia „narodowy"' w swej działalności używają, bo nie zawsze określenie to znaczy jedno i to samo. Nie należy naszych wyjaśnień rozumieć jako zasadnicze podejście do tematu, pojęcie „narodowy" bowiem może mieć tylko jedno znaczenie, ale niektóre partje polityczne wzięły to słowo w pacht i wielu ludziom zdaje się, że to co narodowe, musi mieć zaraz taką, a nie inną cechę partyjną. Tu leży przyczyna nieporozumień, które zdołały przeniknąć nawet do szerokich sfer społecznych, i wielu ludzi, roszczących sobie nawet pretensje do przodownictwa w życiu społecznem, gdy usłyszą słowo „narodowy", widzą w nim odrazu ducha przeciwnej sobie partji, ale tak nie jest. Być narodowcem, to wcale nie znaczy, być członkiem stronnictwa, które „narodowy" używa jako przymiotnika w swej nazwie. Zresztą partyj, używających tego przymiotnika jest już dziś wiele. Nie trzeba od tego, co jest narodowe uciekać, a wtedy nikt niczego „narodowego' nie będzie mógł brać w pacht.

Jeśli chodzi o narodowy ruch robotniczy i jego ewentualne przyszłe zjednoczenie pod wspólnym sztandarem, to niewątpliwie, gdyby to się stać mogło, byłoby wielkiem zwycięstwem polskiego robotnika. Należy do tego dążyć za wszelką cenę, bowiem bez tej jedności nie może być mowy o polepszeniu bytu klasy robotniczej w Polsce. Sądzimy, że takie zjednoczenie mogłoby nastąpić dość prędko, gdyby tylko ludzie, stojący na czele istniejących dziś różnych grup narodowych robotniczych, zechcieli spojrzeć na te sprawy pod kątem widzenia li tylko dobra ogólnego, a nie swoich korzyści partyjnych.

Redaktor: STANISŁAW NOWICKI

Redakcja i Administracja: Sosnowa 13 m, 11 tel. 224-75

Wydawca: Zarząd Główny Stowarzyszenia Kilińczyków i Enzeterowców

Zakł. Graf. „Drukarnia Bankowa", Warszawa, Moniuszki 11